

POWIEŚĆ Z „HYDE PARKU”



- str. 12

NARDELLI

- str. 3

Kultura w Świdniku

- str. 8-9

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

IMCS
LUBLIN

Rok założenia 1933

PL ISSN 0137-7108 Nr Indeksu 24252

Kammena

NR 14 (834)

14 lipca 1985

CENA 10 ZŁ



Lublin 1944. Na trybunie honorowej.

Fot. CAF — Arch.

Henryk Makarski

DROGA NAJDROŻSZA

drogo słona od łez i od potu
drogo słodka od krwi i od plwocin
drogo drzeniem kolan utwardzana
drogo stara drogo jara drogo
drogo dziwna bez świateł i znaków
drogo słona strachem bez nazwy
drogo biała i czerwienią kwitnąca
drogo z której zawrócić nie można
drogo droga drogo najcenniejsza
miedzo nasza ścieżko udeptana
świeżo polska

Siła i mądrość 1944

MIJA 41 lat od daty ogłoszenia Manifestu PKWN. Kilkadziesiąt już razy świętowaliśmy kolejne rocznice tego doniosłego aktu politycznego, stanowiącego leżący fundament rewolucyjnych przeobrażeń ustrojowych w Polsce. Świętowaliśmy z namaszczeniem, w atmosferze powagi, w poetyce wspomnień — jak zwykle się honorować wydarzenia tyle ważne, co już zamknięte w muzeum historii. W takim też miejscu lokowała PKWN wyobraźnia młodych pokoleń Polaków, urodzonych po II wojnie światowej i jedynie z podręczników szkolnych znających takie pojęcia, jak: walka klasowa, opo- zycja, podziemie, reforma rolna, woj-

Ciąg dalszy na str. 4

RZECZ zastanawiająca: poezja, która przez wieki kształtowała wrażliwość estetyczną i etyczną odbiorców, staje się sztuką coraz bardziej izolowaną i martwą. Budzi niechęć i irytację. Większość czytelników ją ignoruje. Świadczą o tym sterty zakurzonych tomików poetyckich, zalegających w księgarskie i biblioteczne półki.

Kto dziś czyta poezję? Sami poeci i grono ich przyjaciół, uczniowie (pod przymusem szkolnym), krytycy, może jeszcze zakochani(?). Jest ona wielkim zmartwieniem polonistów, którzy rozmyślają, jak przełamać niechęć młodzieży wobec tej formy literackiej, jak ułatwić odbiór liryki.

Przyczyny uwiadku poezji są różnorodne. Ale chyba dwie dominują. Jedną wynika z przemian strukturalnych polskiej poezji powojennej, które doprowadziły do niezwyklej komplikacji tekstów poetyckich. Już w pierwszych latach powojennych zaczął się rozpaść względnie jednolity model poezji, opartej na wierze w słowo i w jego etyczną moc, w jedność wewnętrzną człowieka i świata, w stałość zasad moralnych, społecznych itd. T. Różewicz pisał z gorzką ironią:

*Byli szczęśliwi dawniejsi poeci
Świat był jak drzewo a oni jak dzieci*

Nasza powojenna poezja, powstająca w świecie rozdartym konfliktami, skłóconym ideologicznie, nie ustabiliz-

Poezja w epoce mass mediów

Stanisław Rojek

zowanym moralnie, nękanym poczuciem nieustannego zagrożenia, nie mogła już kreślić jednolitej wizji świata. Rozpadła się na kilkanaście konkurujących ze sobą nurtów o różnych światopoglądowych orientacjach i poetykach.

Ta mnogość światopoglądów i stylów, odbijająca chaos myśli ludzkiej, stała się zarówno siłą jak i słabością naszej poezji. Słabość ta wynika głow-

nie z tego, że poeci, porażeni niemożnością ogarnięcia ludzkiego świata, utracili z czasem twórczy kontakt z rzeczywistością i historią, przestali podejmować wysiłki dogłębnego rozpoznania czasu, w którym żyjemy. Poeci przeważnie wybrali ucieczkę w zmistyfikowane rejony folkloru (Bryll), nad-

Ciąg dalszy na str. 6-7

Przed wyborami do Sejmu

O GŁOSZONA została Deklaracja Wyborcza Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego. Obok ordynacji jest to podstawowy dokument dotyczący tego wielkiego wydarzenia — wyborów do Sejmu PRL.

Deklaracja Wyborcza PRON odznacza się językiem prostym, klarownym. Wytycza kierunki działania społeczeństwa i władz obecnie oraz w najbliższej przyszłości. Nie ma w niej liczb i wskaźników, nie ma też jakichkolwiek obietnic. Zapewne zbyt dużo było ich w niedawnej przeszłości, słowa się zdawały, dziś nie słów, lecz czynów nam trzeba. Dlatego też Deklaracja Wyborcza wyraźnie podkreśla że od nas, Polaków, zależy najbliższa i dalsza przyszłość naszej Ojczyzny.

„Minał — podkreśla ten dokument — czas najostrejszych konfliktów. W świadomości społecznej pozostaje jednak jeszcze немало urazów i rozterek. Dziś trzeba wznieść się poza nie, porozumieć wokół spraw nadrzędnych dla Polski, skupić na pel-

nym wcieleniu w życie zasad socjalistycznej ordynacji”.

Deklaracja opowiada się m. in. za: skutecznym spełnianiem przodującej roli klasy robotniczej w społeczeństwie, umacnianiem państwa, rozszerzeniem i doskonaleniem demokratycznych metod sprawowania władzy, zapewnieniem jawności i efektywności decyzji kadrowych, unowocześnieniem gospodarki, tworzeniem coraz lepszych warunków wszechstronnego rozwoju jednostki, uwrażliwieniem na dobro rodziny i wychowanie młodego po-

Za i przeciw

kolonia, kierowaniem się zasadą, że prawo jest równe dla wszystkich.

Deklaracja jest m. in. przeciw: próbom osłabiania państwa, wszelkim aktom anarchii i samowoli, naruszaniu przez kogokolwiek praworządności, ładności i porządku publicznego, lenistwu i niskiej dyscyplinie pracy, nadużywaniu stanowiska, niegospodarności, pasożytnictwu i łodziestwu, prywatnie i wyzyskowi, spekulacji, degradacji i oszpecaniu środowiska naturalnego, plądze alkoholizmu i narkomanii.

Deklaracja opowiada się wreszcie za tym, aby Sejm IX kadencji kierował się wytyczną zrównoważonego rozwoju społecznego i gospodarczego, stosował politykę służącą coraz lepszemu zaspokojeniu potrzeb materialnych i kulturalnych narodu.

Uznaje się za konieczne: konsekwentne realizowanie reformy gospodarczej, podnoszenie wydajności i jakości pracy oraz jej odpowiednie wynagrodzenie, dalsze systematyczne ograniczanie inflacji, szybsze rozwiązywanie problemu mieszkaniowego, popieranie rozwoju usług i drobnej wytwórczości, wzmocnienie ochrony najłabszych ekonomicznych grup ludności, zaciśnięcie więzów ekonomicznych z państwami RWPG zdynamiczowanie zdolności eksportowej naszej gospodarki.

„Chcemy na trwałe — stwierdza Deklaracja — rozwiązać problem wyżywienia narodu. [...] Dążymy wszelkimi staraniami, aby do 1990 roku osiągnąć samowystarczalność żywnościową”. W tym kontekście Deklaracja wypowiada się za stabilną polityką rolną, unowocześnianiem przemysłu i przetwórstwa rolno-spożywczego, poprawianiem warunków życia na wsi.

W Deklaracji jest również mowa o konieczności rozwoju polskiej nauki i myśli technicznej. Świat idzie naprzód i nie wolno nam pozostać w tyle, tym bardziej że polska czołówka intelektualna reprezentuje poziom światowy. „Pobudzajmy i wynagradzajmy odpowiednio wysoko... materialnie i moralnie — autentyczny dorobek naukowy, wynalazczość i racjonalizację”.

Plaszczyzna porozumienia jest bardzo szeroka. Deklaracja PRON jest skierowana do całego polskiego narodu — partyjnych, bezpartyjnych, wiejskich i niewiejszych. Warto ją dokładnie przestudiować i może uzupełnić o własne propozycje. Chodzi o przyszłość Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

z notatnika

24 VI. Nie chce mi się wprost wierzyć, że dzisiaj mija piętnasta rocznica śmierci mej matki. Antoniny, długoletniej nauczycielki szkół chełmskich. Matka urodziła się w Galicji, w zaborze austriackim, ojciec — w zaborze rosyjskim. Gdyby nie pierwsza wojna światowa, w której wyniku Polska odzyskała niepodległość, moi rodzice by się nie poznali. Brzmi to paradoksalnie, ale zawdzięczam życie strzałom w Sarajewie...

Matka zmarła na raka. Próbowal ją operować prof. dr Zbigniew Papliński. Piszę „próbował”, bo po rozcięciu brzucha okazało się, że nóż chirurga jest już beużyteczny. Matka ludzka się jednak, że operacja się owdiodła, nawet poczuła się po niej nieco lepiej, ale finał zbliżał się już szybko. Zmarła 24 czerwca 1970 r. o godzinie 17.05. Bylem przy niej w tych ostatnich minutach, chyba nie zdawała sobie sprawy, że umiera.

Dwa dni później wpadłem do redakcji i tu dowiedziałem się o innej śmierci: 25 czerwca zakończył życie Konrad Bielski, członek kolegium redakcyjnego „Kamenu”, wspaniały człowiek, dusza każdego towarzystwa.

27 czerwca — dwa pogrzeby: rano matki, po południu — Konrada. „Dopilnuj — mówił mi kiedyś — abym miał pogrzeb bez księdza”. No i miał pogrzeb świecki, ale nie wypadł on zbyt okazale. Nie miałem ani czasu ani głowy, aby się tym specjalnie zająć, a — niestety — świeckie pogrzeby bez orkiestry, bez salwy honorowej wyglądają błado. Dobrze, że nieboszczykowi jest już wszystko jedno...

O Konradzie pisał w poprzednim numerze „Kamenu” Zygmunt Mikulski, przypomniał mi też dwa wiersze Kondzia. Kiedyś warto przypomnieć i inne — dla młodych to poeta zupełnie nie znany...

2 VII. Sesja Rady Najwyższej ZSRR, Andriej Gromyko, wytrawny polityk i mąż stanu, zostaje wybrany przewodniczącym Rady Najwyższej. Stanowisko ministra spraw zagranicznych ZSRR obejmuje Gruzin, Eduard Szewardnadze, powołany dzień przedtem przez plenum KC KPZR w skład Biura Politycznego. Obserwatorzy zagraniczni uważają, że długotermy szef dyplomacji radzieckiej, Andriej Gromyko, w dalszym ciągu będzie aktywny na tym polu, choć może raczej w sprawach dalekosiężnych, perspektywicznych, podczas gdy Eduard Szewardnadze zajmie się przede wszystkim „bieżącymi” sprawami polityki zagranicznej. Jedno jest jednak pewne: polityka zagraniczna ZSRR jest konsekwentna.

Przed kilkoma dniami sekretarz generalny KC KPZR, Michaił Gorbaczow, spotkał się z załogą Zakładów Hutniczych im. G. I. Pietrowskiego w Dniepropietrowsku. Poruszając problematykę zagraniczną, podkreślił, że kluczo-

wym problemem jest wstrzymanie wyścigu zbrojeń, przejście do redukcji nagromadzonych zapasów.

„Jesteśmy gotowi — podkreślił M. Gorbaczow — rywalizować z kapitalizmem wyłącznie na pokojowym gruncie, na polu twórczej działalności. Dlatego też opowiadamy się za rozwojem dialogu politycznego i współdziałania z krajami kapitalistycznymi, za szerszym rozwojem wzajemnie korzystnych stosunków handlowo-gospodarczych, naukowo-technicznych i kulturalnych. [...] Jesteśmy gotowi porozumieć się nie tylko co do wstrzymania wyścigu zbrojeń, lecz również co do radykalnej ich redukcji — aż do powszechnego i całkowitego rozbrojenia. Obecnie — jak wiadomo — prowadzimy w Genewie rozmowy z USA. Zadaniem tych rokowań, jak to rozumie kierownictwo radzieckie, jest zaprzestanie wyścigu zbrojeń na ziemi i niedopuszczenie go do kosmosu. Zgodziliśmy się na rozmowy, aby doprowadzić do realizacji tych celów. Jednakże wszystko wskazuje na to, że rząd USA i kompleks wojskowo-przemysłowy, któremu rząd ten służy, właśnie tego nie chcą. [...] Amerykanie nie tylko nie wysunęli w Genewie poważnych propozycji w sprawie położenia kresu wyścigowi zbrojeń, lecz wręcz odwrotnie podejmują kroki, które to uniemożliwiają. Mam na uwadze tzw. program „wojen gwiazdowych”, stworzenia uderzeniowej broni kosmicznej. Rozprawianie o jej rzekomo „obronnym” charakterze, to oczywiście bajka dla naiwnych. Zamyśl polega na tym, aby podjąć próbę sparaliżowania broni strategicznej Związku Radzieckiego, zapewnić sobie możliwość zadania naszymu krajowi bezkarnego ciosu nuklearnego. [...] Jeżeli Związek Radziecki stanie przed realnym zagrożeniem z kosmosu, znajdzie sposób skutecznej przeciwdziałania — niech nikt w to nie wątpi, mówię to bardzo wyraźnie...”

Dopisuje 4 lipca: w Moskwie i Waszyngtonie oficjalnie ogłoszono, że spotkanie między Gorbaczowem a Reaganem odbędzie się w dniach 19-20 listopada w Genewie. W związku z tym brytyjska agencja Reutersa przypomina, że Reagan, który od przeszło czterech lat sprawuje swój urząd, jest pierwszym od 50 lat amerykańskim prezydentem, który nie spotkał się z najwyższym rangą przywódcą radzieckim.

Trudno z góry przewidywać, czym skończy się rozmowy. Doświadczenia ubiegłych lat wskazują, że osobiste spotkania przywódców ZSRR i USA o ile nawet nie doprowadziły do osłabienia napięcia między mocarstwami, o tyle nigdy nie spowodowały ich gwałtownego zaognienia.

30 VI. „Głos Szczeciński” został odznaczony Orderem „Sztandaru Pracy” II klasy. Odnotowuję to, bowiem w „Głosie” w latach 1957-1965 (do stycznia tegoż roku) pracowałem. Cóż to był wówczas za znakomity zespół, którym kierował dzisiejszy redaktor naczelny „Rzeczpospolitej” — Józef Barrecki! Wymienię kilka nazwisk: Ryszard Liskowacki, Bogdan Chocianowicz, Michał Misiorny, Ireneusz Gwińdon Kamiński, Karolina Głab, Stefan Borkowski, Henryk Mąka, Jan Legut,

Tadeusz Karwacki, Stefan Janusiewicz... W Szczecinie poznałem i Jan-ka Papugę i Franciszka Gila i Emanuela Mesnera...

Kiedy dziś przyjeżdżam do Szczecina, zawsze odwiedzam redakcję „Głosu”, chociaż wiele w niej nowych twarzy. Muszę przyznać, że i redakcja o mnie pamięta, zapraszając na święta gazety. Dwadzieścia lat minęło, a ja zawsze czuję się w Szczecinie jak w domu. Inna rzecz, że w tym mieście przeżyłem część mej młodości, stąd też wiele wspomnień...

4 VII. James Reston, wytrawny komentator prasy amerykańskiej, zamieścił na łamach „International Herald Tribune” znamienity artykuł pt. „Ameryka zazwyczaj jest zaskoczona”. Autor stwierdza, że porwanie amerykańskiego samolotu i 40 obywateli USA przez szytów libańskich stanowiło tylko kolejny dowód na to, że Amerykanie nie zdają sobie sprawy z gwałtownych sił, które zagrażają porządkowi świata. Reston przypomina, że Amerykanie nawet w najgorętszym okresie ostatniej wojny światowej nie wyobrażali sobie, aby Japonia mogła zaatakować Pearl Harbor i zatopić większość amerykańskiej Floty Pacyfiku, stojącej tam na kotwicy. Ameryka została ponownie zaskoczona kiedy Chiny przekroczyły linię Yalu w celu zastąpienia drogi żołnierzom gen. MacArthura, którzy wtargnęli na teren powyżej 38 równoleżnika. Później Kennedy był nie tylko zaskoczony, ale i upokorzony w rezultacie jego spartaczonych próby obalenia rządu Fidela Castro poprzez desant w Zatoce Szwit. Następnie prezydenci Johnson i Nixon byli przekonani, że aczkolwiek komunistów wietnamscy wyparli Francuzów, to jednak nie będą mogli sprostać nowocześniejszym broniom USA. Z kolei Carter nie przewidział, że Chomeini rzuci wyzwanie potęgze amerykańskiej i przetrzyma w niewoli dyplomatów amerykańskich przez ponad 400 dni. Reagan, który potępił Cartera za jego cierpliwość, doznał uczucia osłupienia w rezultacie zniszczenia ambasady amerykańskiej i zamordowania kilkuset żołnierzy piechoty morskiej w Beirutie.

„Waszyngton — stwierdza Reston — rozgniewany przez ostatnie uprowadzenie, próbuje działać w świecie, o którym niewiele wie. Waszyngton sądzi, że sprawa polega na uwolnieniu samolotu i tego pasażerów, podczas gdy w rzeczywistości stoi w obliczu nie tylko terrorystów, ale również walki o władzę w świecie arabskim oraz zderzenia systemów filozoficznych dotyczących nie mniej ni więcej tylko znaczenia życia ludzkiego, zarówno doczesnego, jak i przyszłego. [...] Islam wyznaje 67 krajów i jedną plate ludność świata, ale, ogólnie rzecz biorąc, zachodnie kraje demokratyczne zdolne zignorować to. Jeśli chodzi o szytów (wobec muzułmanów stanowią oni mniejszość ok. 15 proc., przy czym większość z nich żyła do niedawna w nodzy i zamknięcia się medytacją, byli oni uchodźcami w ich własnych krajach), to tylko nieliczni członkowie Kongresu, gabinetu Reagana lub waszyngtońskiej prasy mieli o nich bardzo małe pojęcie aż do czasu, gdy aiatollah Chomeini wyrzucił Amerykę z Iranu i srołowował szytów libańskich do gwałtownych uczuć urąk i akcji terrorystycznych. Obecna sytuacja na Bliskim Wschodzie jest częściowo rezultatem zawilej częściowo rezultatem obawy przed materializmem i zaspokajaniem własnych zachebianek przez demokracje zachodnie, a częściowo rezultatem nienawiści do Izraela jako sojusznika Stanów Zjednoczonych. Nie wydaje się, aby Amerykanie mogli zrozumieć całą tę plate-line, jeśli nie uznają faktu, iż nie jest on winą „Jimmy’ego Reagana” jak koloco określa prezydenta „The Wall Street Journal”, ale jest rezultatem stulecia ludzkich konfliktów i ludzkiej głupoty”.

Nieco podważyłbym to ostatnie sformułowanie, bo ów „Jimmy Reagan” ma niemąły udział w tym, co się rozgrywa na Bliskim Wschodzie i jego winy pomniejszać nie należy. Niemniej głos Restona w sumie wydaje mi się interesujący. Zgroza jednak ogarnia, gdy się pomyśli, że politycy amerykańscy mają i w innych światowych sprawach tak słabe rozeznanie sytuacji. Wskazuje na to również stosunek obecnej administracji państwowej USA do Polski.

5 VII. Mija, a właściwie już minęło, dziesięć lat od reformy administracyjnej. W niektórych nowych województwach uroczysto świętowano tę rocznicę. Lublin, siedziba woj. lubelskiego, mógł co najwyżej z tej okazji urządzić coś w rodzaju stypy.

Co okrojono z dawnego woj. lubelskiego, wiemy, ale przecież coś mu i przybyło. M.in. Ryki. Wielokrotnie przejeżdżałem przez to miasteczko w drodze do Warszawy, ale nigdy bliżej się nim nie zainteresowałem... A przecież problemów Ryki mają sporo. Na ich temat rozmawiałem z Mieczysławem Jankowskim, naczelnikiem.

Ryki liczą dzisiaj jedenaście tysięcy mieszkańców. Zbiorcza szkoła dosłownie trzeszczy w szwach. Uczeszcza do niej ponad dwukrotnie więcej uczniów niż powinno. Nowy budynek aż się prosi. Do tej szkoły jak i do dwóch szkół zawodowych, zasadniczej szkoły rolniczej i liceum ogólnokształcącego chodzi ok. czterech tys. uczniów. Niewielu absolwentów zatrzymują jednak same Ryki. Młodzież rozjeżdża się po Polsce, a w Rykach i Deblinie jest ok. ośmiu tysięcy wolnych miejsc pracy!

Poważną bolączką stanowi woda i ścieki. Sieć nie jest dostosowana do tak wielkiej liczby mieszkańców.

Umawiam się z naczelnikiem, że go jeszcze odwiedzę. O Rykach nigdy jeszcze w „Kamenu” nie pisaliśmy. Trzeba to nadrobić!

6 VII. W poznańskim tygodniku „Wprost” na dwóch stronicach fotoreportaż z poświęcenia samochołów w Polanicy. Właściciele przy swoich czterech kółkach w pozycji kłęczącej. Bardzo jestem ciekaw, czy w takich np. Włoszech lub Hiszpanii też organizuje się podobne uroczystości? W XXI wieku zapewne będziemy święcić w Polsce rakiety międzyplanetarne. Interesuje mnie też, czy poświęcane są samochoły, którymi jeżdżą sami księża?

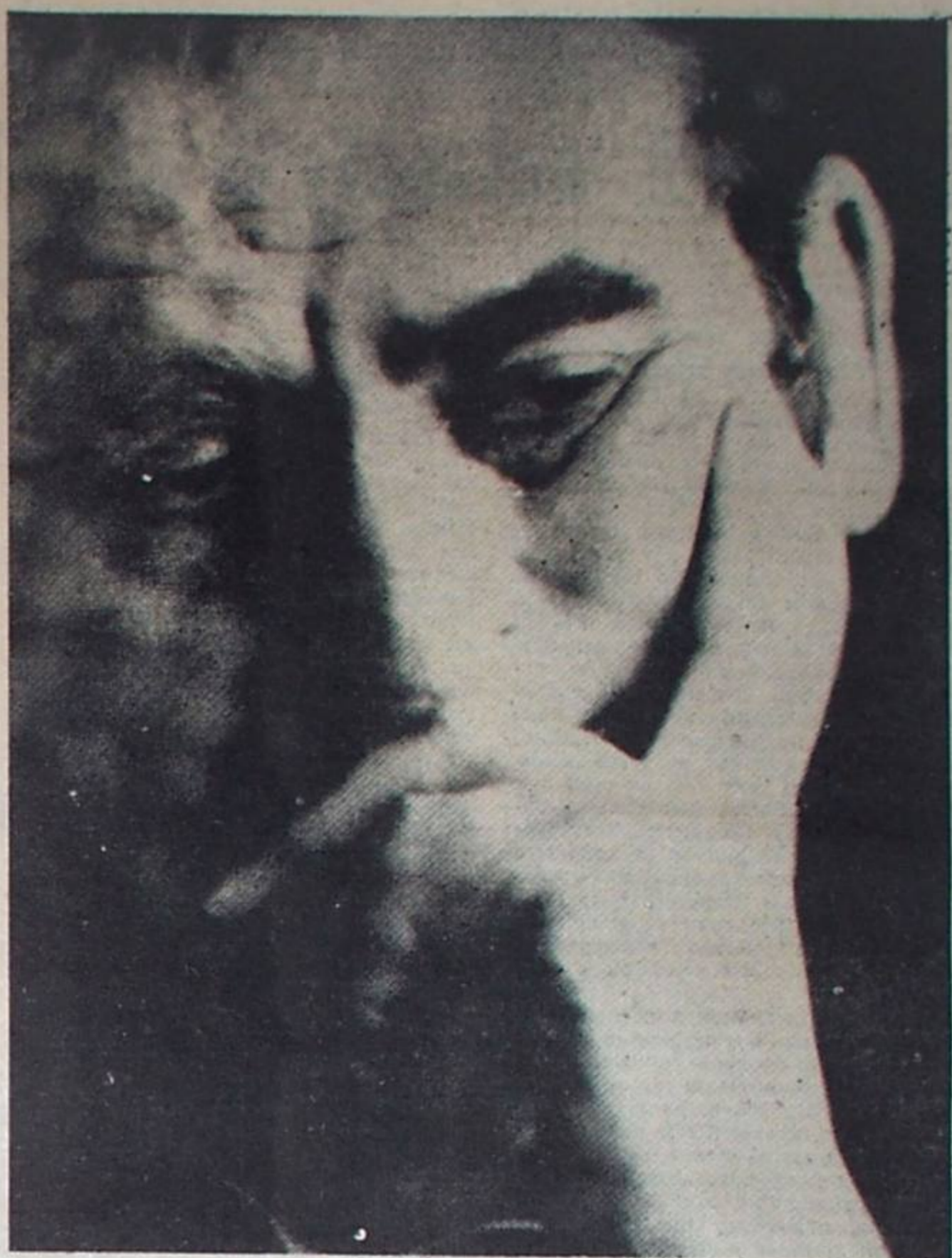
M. A. Jaworski

Nagroda dla I.J. Kamińskiego

Ireneusz J. Kamiński, kierownik działu publicystycznego „Kamenu” przez lubelskiego oddział Stowarzyszenia Autorów Polskich, otrzymał III nagrodę Klubu Problematyki Kulturalnej Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL za rok 1984. Gratulacje nazwemu Kolekcje, chcemy podkreślić że na szczególną uwagę zasługują wydana w ub. r. przez Wydawnictwo MON tegoż książki o „Kwiat na ruinie” traktująca o sprawach kultury i oświaty na wyzwolonej Lubelszczyźnie. Porzeczka ta powinna być naszym zdaniem, zalecona jako obowiązkowa uzupełniająca lektura w szkołach średnich, przynajmniej naszego regionu. Zwracamy na to uwagę kuratorom w Lublinie, Chełmie, Zamościu, Białej Podlaskiej, a także nauce historii.

DŁUG

Michał Rey



W NIEDZIELE, 30 czerwca 1985 roku, o godzinie 13.10 ordynator Oddziału Intensywnej Terapii Państwowego Szpitala Klinicznego Nr 4 w Lublinie, dr med. Jan Chodnickiewicz, opuścił salę, w której od dwóch tygodni trwała walka o życie człowieka. Przed chwilą stwierdzili zgon. Zmarł Stanisław Nardelli, urodzony 2 maja 1928 roku, zamieszkały w Tychach przy ul. Tetmajera 89. Doktor poszedł do gabinetu, skąd telefonicznie powiadomił zastępcę, dr med. Aleksandra Piłkę. Wkrótce wiadomość dotarła do ordynatora Oddziału Nefrologii, doc. dr. hab. med. Andrzeja Książka, u którego chory leżał poprzednio. Niemal równocześnie otrzymał ją także doc. dr hab. med. Jerzy Karski, ordynator Oddziału Chirurgii Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego, którego ze zmarłym łączyły szczególnie bliskie więzi. Wkrótce o śmierci Stanisława Nardellego wiedział cały PSK-4. Wiadomość przyjmowano z niedowierzaniem, kryła bowiem paradoks równie niewytłumaczalny, jak i predyspozycje, dzięki którym nazwisko zmarłego znane było każdemu Polakowi.

Następnego dnia, 1 lipca br., żona i córka odebrały akt zgonu. Przyczyną zejścia były powikłania cukrzycowe, uszkodzenie układu krążenia i nerek. Chory cierpiał na cukrzycę od 23 lat, codziennie przyjmował insulinę, od kilku lat był regularnie dializowany. W ostatnich miesiącach nastąpiło dramatyczne pogorszenie stanu zdrowia. Stanisław Nardelli trafił do szpitala tyńskiego, skąd na własną prośbę w początku czerwca przewieziono go helikopterem do Lublina. Lubelskich lekarzy darzył zaufaniem szczególnym i w ich umiejętnościach dopatrywał się szansy przedłużenia życia. On, w którym identyczną szansę dostrzegały miliony ludzi. On, „człowiek ostatniej szansy”.

Doktor Piłkę mówi, że Stanisław Nardelli uśmiechał się do samego końca. Nie mogąc mówić z powodu tracheotomii, kontakt z otoczeniem utrzymywał właśnie poprzez ten uśmiech, skinięcia głowy, ruchy oczu i uściski dłoni. Właśnie ten uśmiech doktor zapamiętał najlepiej.

O tym samym wspomina docent Karski. Dzień przed śmiercią był u Nardellego.

— Stan był już bardzo poważny. Pan Stanisław sprawiał jednak wrażenie bardzo spokojnego. Nie chciałem męczyć go rozmową, więc tylko pocieszałem, starałem się dodać mu otuchy. Uśmiechał się lekko. Zapytałem, czy chciałby wrócić na mój oddział, gdzie kiedyś z dobrym skutkiem się leczył, i który bardzo miłe wspominał. Uśmiechnął się szerzej i zmrużył oczy, lekko poruszył potakująco głową. Powiedziałem, że jak mu się tylko poprawi, przeniosę go do siebie.

W piątek, 5 lipca br., na cmentarzu w Tychach pożegnano Stanisława Nardellego. Uczestniczyli najbliżsi: żona, córka, wnuki, przyjaciel, gorący propagator i rzecznik akcji zmarłego, red. Aleksander Trzaska z rozgłośni PR w Katowicach, także ludzie, którym pan Stanisław przyniósł ulgę, zdrowie, być może nawet darował życie. Tak zamknął się epizod ledwie sześciolletniej działalności najbardziej znanego polskiego bioenergoterapeuty, zapewne też najbardziej skutecznego. Nie jest przesadą stwierdzić — co zresztą dostrzegają autorzytetów medycznych — iż także okresu bardzo owocnego terapeutycznie. Może nawet najbardziej w dziejach naszej medycyny nieklasycznej.

Podjęliśmy się próby przybliżenia Czytelnikom postaci Stanisława Nardellego. Nie chodzi jednak o opatowanie opisami przypadków „cudownych” wyleczeń, co — notabene — nie byłoby zabiegami dziennikarsko trudnym. Idzie raczej o pokazanie Nardel-

lego, jako człowieka, który uwierzył w swoje możliwości pomagania innym i któremu tę wiarę sówicie odwzajemniono. O próbę interpretacji tzw. efektu Nardellego w oparciu o dostępną wiedzę naukową a także opinie i świadectwa lekarzy oraz reprezentantów innych dziedzin. A także zbilansowanie jego działalności na polu społecznym, związanym z jego paramedycznymi predyspozycjami pośrednio, luźno lub wcale.

Jest rzeczą oczywistą iż w publikacjach opierać się będziemy na dokumentach wcześniej cytowanych, opracowaniach, publikacjach, reportażach, wywiadach. Choć także materiałach własnych. Zbieranych głównie w Lublinie, z którym Stanisław Nardelli związany był bardzo blisko.

— Osobiście uważam, iż powinniśmy odczuwać satysfakcję z tego, że u nas p. Stanisław Nardelli czuł się najlepiej. Jako lekarz, co podziela zapewne także moi koledzy, sądzę iż jest swobodnym dla nas „wyróżnieniem” fakt pełnego zaufania do naszych kompetencji medycznych, naszej życzliwości i woli niesienia pomocy choremu człowiekowi. Dysponując możliwościami leczenia się w dosłownie każdym ośrodku krajowym i wielu renomowanych za granicą, w sytuacjach krytycznych dla swego zdrowia zwracał się ku Lublinowi i lekarzom lubelskim. Również tego wyboru dokonał w sytuacji ostatecznej. W mojej dwudziestokilkuletniej praktyce ten właśnie szczególnie przypadek poczytuję za najbardziej zaszczytny. Nie widzę też jakichkolwiek powodów, aby to skrywać — mówi docent Jerzy Karski.

Opinia ta stanowiła jeden z ważniejszych motywów podjęcia publikacji niniejszego cyklu.

Przed dwoma laty dr Stanisław Grabiec biochemik z PAN, wyraził następującą opinię:

„[...] Jego zdolności wymagają zbadania. Wiadomo, że występuje oddziaływanie fotonowe wewnątrz komórek, może i między organami. Ale nie przypuszczam, by były oddziaływania międzyosobnicze. Być może, mamy do czynienia z innymi energiami, ale o tym za wcześnie chyba mówić. Nardellim powinno się zająć Centrum Medycyny Doświadczalnej PAN. Rzeczy znane są domeną rzemieślników Akademii powinny przede wszystkim badać nowe. Trzeba sprawdzić, co się dzieje w mózgu Nardellego i w mózgu chorego podczas zabiegu. Czy zmienia się pole elektrostatyczne wokół niego. Nie wiem, na co się czeka. Gdy żył Klimuszko, to zbierały się nawet różne grona profesorskie, były brawo, ale potem nic z tego nie wynikało, aż Klimuszko zmarł...”

Słowa te nabrały, niestety, ponownej aktualności. Nardelli nie żyje... Jego fenomenem nie zajęło się ani wspomniane Centrum, ani na przykład Instytut im. Nenckiego. Nie udało się też dotrzeć Nardellemu do prof. Włodzimierza Sedlaka, po którego naukowej pomocy wiele się spodziewało. Pozostały naturalnie wyniki innych prób i eksperymentów z nim przeprowadzanych, w tym m.in. głośnych eksperymentów opolskich, które doprowadziły do sformułowania pojęcia efektu Nardellego. Nie zmieni to jednak faktu, iż były to badania „peryferyjne”, prowadzone przy pomocy narzędzi dalekich od tych, jakimi dysponują wspomniane wcześniej, ośrodki centralne. Ten opór wobec wszystkiego, co nieklasyczne w medycynie, jest zresztą pewną cechą charakterystyczną naszych władz i decydentów medycznych. Wystarczy prześledzić „przygody”, z jakimi dobiły się równoprawności np. hipnoterapia czy akupunktura. Na temat bioenergoterapii prof. dr Janusz Jellaszewicz, mikrobiolog, przewodniczący Rady Naukowej przy ministrze zdrowia i opieki społecznej, wypowiadał się następująco:

„[...] Bioenergoterapia to nie innego jak współczesny powrót do średniowiecza i osobiście uważam, że należy

ją rozpatrywać w kategoriach zjawiska socjologicznego, a nie metody leczenia. Są to pewne pozytywne zabobony, które chorym ludziom mogą przynieść ulgę, dać nadzieję wyzdrowienia...”

Można tak, można inaczej. Profesor Aleksander Spirkin, Akademia Nauk Medycznych ZSRR:

„[...] Mniej więcej od piętnastu lat fizycy, biofizycy, psychologowie i psychiatry badają eksperymentalnie pole biologiczne [...] odbierane już subiektywnie jako odczucie klucza, przyjemnego ciepła, oporu powietrza [...] Doświadczenia wykazały ponad wszelką wątpliwość, że pole wypromieniowane przez organizm człowieka, zwierzęcia czy rośliny istnieje naprawdę...”

Minie w Polsce zapewne kilka, a może kilkanaście lat nim odpowiedź na pytanie: „Pozytywny zabobon czy zjawisko biofizyczne?” zostanie udzielona. Tylko tyle, że człowieka, który walczył do uzyskania odpowiedzi dopomóc, już nie ma. Nie wiadomo również, kiedy ktoś obdarzony podobnymi właściwościami u nas się pojawi.

Wróćmy jednak do Nardellego. W postaci tej równie interesującym, jak zapoczątkowana w 1979 roku działalność, wydaje się rys biograficzny. Urodził się na Śląsku Cieszyńskim, w Skoczowie. Dziadek Nardellego był Włochem. Jako ochotnik walczył przed 1918 rokiem o niepodległość Polski. Po zakończeniu wojny osiadł na stałe na Śląsku. Poślubił Austriaczkę, pochodzącą z polonofilskiej rodziny. Z tego mariażu rozwinęła się linia Nardellich. Z obcego pochodzenia zostało tylko nazwisko, a sami członkowie rodu dali się poznać jako patrioty polscy, oddani obywateli kraju. Sam Stanisław mając 12 lat był członkiem „Szarych Szeregów”. Potem wstąpił do Armii Krajowej. Był członkiem oddziału dywersyjnego „Strzała” działającego na terenie Skoczowa, którego dowódcą był Andrzej Raszka, syn miejscowego lekarza. 25 listopada 1944 roku oddział został rozbity w starciu z żandarmerią niemiecką. Odtąd Stanisław Nardelli ukrywał się. Trwało to do kwietnia 1945 roku. W międzyczasie dwukrotnie wpadał w ręce hitlerowców...

Wspominał:

„[...] Zmęczony ciągłym ukrywaniem, wstąpiłem do matki. Ponieważ byliśmy wysiedleni, więc mieszkaliśmy w piwnicy. Matka musiała czuć, ale zasnęła, biedaczysko. No i pech. Wpadli

Niemcy. [...] I przychodzi taki moment. Niemiec przykłada do mojej głowy pistolet maszynowy i pociąga spust. Słyszę suchy trzask iglicy o sponkę. Nie wypalił. Zandarm próbuje wyjąć i wyrzucić uszkodzony nabój, moczkuje się z bronią. Matka rzuca mu się pod nogi. On ją kopie i w tej chwili wpadają inni Niemcy, którzy przeszukiwali górę domu. Ten moment uratował mi życie. Nie zastrzelili mnie, tylko powiedzieli: — Zabieramy tego polskiego bandytę na przesłuchanie. A złapano mnie wówczas z bronią w ręku. W chwili gdy dwóch z nich wyprowadzało mnie na podwórko, nastąpił silny ostrzał artyleryjski zza Wisły, gdzie były już wojska radzieckie. Tych dwóch, którzy mnie prowadzili, zostało trafionych, wokół mnie sypie się grad odłamków, ja dziwnym trafem pozostałem nietknięty. W 24 godziny później wpadam w kolejnej obławie. Razem ze mną wzięto wówczas 39 zakładników. Wykopaliśmy dla siebie grób. Naprzeciw stanął pluton egzekucyjny. Wydawało się, że tym razem nie ma dla mnie ratunku. Nagle nadjechał łącznik, SS-man na motocyklu, i po krótkiej naradzie całą grupę pognano w kierunku Cieszyńska. Umieszczono mnie w celi śmierci cieszyńskiego gestapo. W mieście trwały wówczas masowe rozstrzeliwania. Egzekucje trwały jeszcze w maju do samego momentu wyzwolenia. Czekalem w celi śmierci na mój koniec. Tymczasem jakby o mnie zapomniano. Nie mam pojęcia, jak to wytłumaczyć [...]. W każdym razie przesiedlałem w celi śmierci aż do momentu kiedy wszedł Rosjanin... Przyszła wolność. Ale minął rok i znów uratował mnie cud. Tym razem była to choroba. Nikt nie wierzył, że z tego wyjdę. A jednak żyję. Takich nieprawdopodobnych wydarzeń, w których prawdziwość aż trudno uwierzyć, miałem więcej...”

Opowiadając o tych wydarzeniach podczas wizyty w USA, w zimie 1984 roku, Stanisław Nardelli łączył je z motywem mistycznym nadprzyrodzonym. Uważał, że życie zostało mu niejako ofiarowane i ten dług powinien spłacać...

(Ciąg dalszy nastąpi)

W treści wykorzystano pozycje: Wiesława Książka i Tomasz S. Pochronis „Nardelli, człowiek ostatniej nadziei” Chicago 1984 i Zofii Mierzwińskiej i Leszka Gila „Nardelli w Chicago”, Chicago 1984.

Siła i mądrość 1944

Ciąg dalszy ze str. 1

na domowa. Określały one sprawy odległe, należące do biografii ojców i dziadków, w horyzoncie doznań emocjonalnych nie różniące się nawet od takich faktów, jak Konstytucja 3 Maja, Wiosna Ludów, a może nawet — bitwa pod Grunwaldem. W niemalym stopniu przyczyniła się do tego szkoła i propaganda z lat siedemdziesiątych, która z jednej strony wpisała PKWN w szacowany stereotyp o cechach ekspozycji muzealnej, zaopatrzonej w karteczkę z napisem „nie dotykać”, z drugiej — koncentrowała spojrzenie młodych pokoleń na mirażach nowoczesnej technologii i kultury w stylu disco. Znamienne przy tym, że do dziś nie ukazały się w Polsce wartościowe powieści czy filmy fabularne, tematycznie związane wyłącznie z okresem PKWN. Polityczna, społeczna, obyczajowa i zwyczajnie ludzka materia tamtych miesięcy 1944 roku mogłaby stać się kanwą niejednego atrakcyjnego dzieła — czyżby nie wiedzieli o tym nasi twórcy?!

Trzeba było wstrząsu z początku lat osiemdziesiątych, by przekonać się, że walka klasowa, opozycja, podziemie, a nawet wojna domowa to nie są pojęcia z raptularza historii, że program i fakty kreowane przez PKWN do dziś nie dają spokoju tym środowiskom, które uznawszy się za naturalnych spadkobierców pryncypiów ustrojowych międzywojnia, próbowały tak pokierować masowym ruchem niezgody na dalszą destrukcję bytu narodowego, by zekspluować go na tory walki z socjalizmem. Odwoływano się przy tym do ludzkich emocji, jakby wyciągając wnioski z takiej konstatacji Józefa Piłsudskiego: „Polacy nie są zorganizowanym narodem, wobec czego znaczy u nich więcej nastrój aniżeli rozumowanie i argumenty. Sztuka rządzenia Polakami jest zatem wzniecanie odpowiednich nastrojów”. Pretekstów do rozhuśnięcia emocji szukano w 1981 roku w bliższej i dalszej historii, ale tylko w tych jej obszarach, które można było zdyskontować przeciwko naszemu sąsiadowi od wschodu. W takim też kontekście eksponowano emigracyjny rząd londyński, przeciwstawiając go PKWN-owi, uznanemu przez władze radzieckie.

Trzeba było zatem wstrząsu społeczno-politycznego, by przekonać się, że Manifest PKWN nie jest zabytkiem historii. Wydaje się, co ciekawsze, że niektóre z jego haseł i postulatów znów nabierają wyjątkowo żywej aktualności, oczywiście po odsączeniu z nich wątków i terminów bez reszty zanurzonych w rzeczywistości 1944 roku. Oto stosowny fragment dokumentu:

„Stoją przed nami gigantyczne zadania. Będziemy je realizować dalej nieugięcie i zdecydowanie. Odrzucimy precz warcholów, agentów reakcji, którzy przez rozbijanie jedności narodowej, przez próby prowokowania walk między Polakami idą na rękę hitleryzmowi. [...] Nie można tych zadań uźwyczywiście bez jedności narodowej”.

Budowanie jedności narodowej dla zwycięstwa nad wrogiem i odbudowy kraju stanowiło jeden z zasadniczych celów polityki PKWN. Ważne przy tym i chyba instruktywne, że owej jedności nie postrzegano wówczas na drodze wymuszonej unifikacji postaw ideowych, których realnie przeciwieństwem była różnorodność z góry akceptowana. Jak w 1947 roku na łamach „Odrodzenia” odnotował Jerzy Borejsza, *spiritus movens* wydawnictw prasowych z okresu PKWN:

„W owych dniach lubelskich zrozumieliśmy — i bieg wypadków potwierdził słuszność tej koncepcji — że literatura nie wolno dzielić według legitymacji partyjnej. Pozytywniejszy jest dla literatury, a więc dla postępu, dobry pisarz bez legitymacji partyjnej, aniżeli kiepski pisarz z legitymacją partyjną... W głębokim przekonaniu nas, ówczesnych lubliniaków, najistotniejszym zadaniem było: skrzyknąć, skupić wszystko co zdrowe, żywe i

twórcze w dziedzinie kultury, do pracy, bez jawnego czy ukrytego nacisku lub dżankonta dla celów partyjnych”.

Naturalnie, takie stanowisko budziło kontrowersje i sprzeciwy ze strony ludzi przekonanych, że poglądy można zadekretować i bardzo dobrze jest wtedy, gdy wszyscy myślą jednakowo. Nie zapominajmy jednak, w jak dramatycznie powikłanych czasach, w odległości 50 zaledwie kilometrów od frontu, podejmowano wówczas decyzje kreujące instytucje życia zbiorowego. A poza tym przypomnijmy sobie współczesną definicję „prawdziwego Polaka”, za wąską nawet dla poczciwych liberałów...

Ludziom pokroju Borejszy zarzucono m.in., że podają dłoń przeciwnikom politycznym sprzed 1939 roku i zbyt daleko posuwają się w kompromisach. W odpowiedzi Borejsza stwierdził:

„Lewica, najszerszej pojęta, ma bardziej niż ktokolwiek poczucie odpowiedzialności za całość życia narodowego. Wszystko, co jest zdrowe i może się odrodzić, należy podtrzymać i wesprzeć”.

Inne rozumowanie i postępowanie, kontynuował, „prowadzi do wulgary-

Zanim przyjdzie zima,
Ziemię chłop otrzyma.

Dawnie! dziedzic, gdy se gołnał,
Krzyczał: — Precz z Reformą Rolną!
Dziś ten okrzyk jest nietaktem,
A Reforma Rolna — faktem!

Trudno tak twierdzić choćby dlatego, że w łonie samego PKWN dochodziło do ostrych polemik wokół zakresu i tempa reformy, brutalnie zresztą sabotowanej na początku przez administrację terenową z sanacyjnym stażem. Dyskusowanie dróg i metod działania, nie deformujące jednak celów generalnych, było trwałym elementem kultury politycznej Polski lubelskiej, przyciągającym do programu lewicy ludzi spoza tej orientacji. Stanowili oni coś w rodzaju centrum — odległego zarówno od komunizmu, jak i od prawicy, ale respektującego rację stanu kształtującego się państwa. Potrafili zrozumieć tę rację, uznać za swoją — byli lojalni, okazali się pożyteczni dla kraju.

Tymczasem dzisiaj, mając na względzie takie postawy, głosi się tu i ówdzie lub uwiecznia na kserografach o-



Zniszczony czołg na placu Litewskim w Lublinie, Lipiec 1944

zacji i szkodliwego sekciarstwa. Amnestia serc i rozumu przede wszystkim w dziedzinie kultury, wobec wszystkich ludzi dobrej woli i talentu, bez względu na przeszłość — jest dowodem poczucia słuszności i siły moralnej lewicy. I wielkiego rozumu. Dlatego z samego założenia wynikała możliwość lojalnej współpracy od pierwszej chwili odzyskania niepodległości”.

Takie myślenie dominowało w okresie Polski lubelskiej. W redakcjach gazet i czasopism, w powołanych z zachęty PKWN związkach twórczych (literatów, artystów, artystów sceny, muzyków, architektów), w muzealnictwie i administracji kulturalnej znaleźli się ludzie o wielce zróżnicowanej proweniencji ideowo-politycznej: katolicy i marksiści, ludowcy i komuniści, socjaliści i liberałowie, demokraci i narodowcy. Trzon powstałej wtedy spółdzielni wydawniczej „Czytelnik” stanowili byli żołnierze Armii Krajowej — więźniowie Majdanka, wyluskani z ulicznego tłumy przez Jerzego Putramenta. Wszyscy oni akceptowali zapewne sens takiego na przykład hasła, jakie wśród wielu innych ukazało się w organie PKWN „Rzeczpospolita”:

Wszyscy z Be-Cha, z AL-u, z AK-a
Idą zgodnie na Prusaka.

Trudno jednak twierdzić, że przez skłamanie przyjmowano wierszyki propagujące reformę rolną:

pinie, że przez wiele minionych dekad byliśmy zdani na łaskę Historii, tej transcendencji organizującej losy świata niezależnie od intencji narodów, która niemalże cynicznie oferowała Polakom przynajmniej dwie przysięgi naraz. Albo znów napomyka się, że to Opatrzność doświadcza Polaków, by kiedyś sowicie ich za to wynagrodzić...

Anemiczna to jednak „historiozofia”, bezpożyteczna zawsze, a szczególnie szkodliwa w momentach przełomów dziejowych, które wymagają trzeźwego realizmu od każdego, kto chce po prostu na nich skorzystać. Stalin mawiał często, że w polityce nie ma sentymentów. Nawet bigot religijny, jakim był Roman Dmowski, stwierdził trzeźwo: „W stosunkach między narodami nie ma słuszności i krzywdy, jest tylko siła i słabość”. Zygmunt Berling podkreślił w swych pamiętnikach zdanie pewnego Polaka, z którym rozmawiał 16 września 1939 roku w Wilnie: „No cóż, kto z walki zrezygnował i kładzie dobrowolnie głowę na pałku — ten niech idzie na ementarz. Musimy się bić dalej, będziemy się bić i wygramy! Tylko na miły Bóg nie bijny się ze wszystkimi wokół”.

Dawne dzieje, można się było sporo od tego czasu nauczyć. Niestety, realizm polityczny nadal traktowany u nas bywa jako ten garb moralny, a lojalność wobec własnego państwa — jako przejaw tchórzostwa.

Tymczasem stoją przed nami wielkie zadania, które rozwiązać możemy tylko wspólnym wysiłkiem.

MEZOPOTAMIA — starożytna kraina położona w dorzeczu Tygrysu i Eufratu, której obszar zajmuje współczesny Irak, ma historię tak długą, jak cywilizacja człowieka. Tymczasem do dziś mimo natrętnego obiegu informacji, mimo ożywionej wymiany handlowej, mimo wielkości publikacji — nasza popularna wiedza o Iraku, podobnie jak i o innych krajach arabskich jest skąpa. Nadal oscyluje ona między baśniami Szeherazady a wyobrażeniem o midasowym bogactwie naftowych szajeków, a nade wszystko powleczone jest przemożną świadomością europejskiej superiority. Przyczyn tego istnieją wiele: odmiennosc kulturowa i cywilizacyjna, odległość, zagubienie cudzoziemskich campów poza obszarami miast i bariera językowa.

Tymczasem to kraj ciekawy, jak ciekawy jest każdy obcy kraj, i tym ciekawszy, że tak odmienny.

Mysząc o tropikalnym słońcu, zawsze wyobrażałem je sobie, jako wielką, czerwoną kulę zawieszoną dostojnie nad horyzontem, z której ciepło emanuje spokojnie i choć uciążliwe i niezmiennie, ma w sobie urok rozwlekłego wieczoru, który wróży niezbitą pogodę kolejnego dnia. Tymczasem bliskowschodnie słońce jest bezbarwne, okrutne i natarczywe; jakby powleczone zasłoną z cienkiej, piaskowej mgły która powoduje zasychanie w gardle, trudności w oddychaniu i przetykaniu, duszność. Ze szklanych pomieszczeń lotniska w Bagdadzie, pełnych wymieszanego sztucznie chłodu, wychodzi się na ten obzwalający żar, w samą niespokojność i potliwość nocy, w miasto i kraj, w którym przeszłość spleta się z teraźniejszością bodaj tak namacalnie, jak w żadnym innym regionie świata. Obok wielkich arterii komunikacyjnych stolicy i hotel-wieżowców, jakby przeniesionych z Europy, stoją przy drodze niskie chaty z gliny urobionej rękami kobiet i wypalonej do białości przez słońce. I nie jest to sprawa kontrastów, lecz właśnie zderzenia przeszłości z tym, co teraz.

Irak, jak chyba żaden inny kraj arabski, zdaje się podkreślać świadomość swojej łączności z historią, swojego osadzenia w tradycji, swojego przywiązania do źródła. Identyfikując się z przodkami ze starożytności, nie przestaje jednak być czołowym przedstawicielem panarabizmu, krajem niezwykle ambitnym i przekształcającym się. Jest także najdobitniejszym przykładem tezy, że klucz do zrozumienia Bliskiego Wschodu leży w świadomości o przemienności układów, paradoksie sojuszy i wiecznej ruchliwości idei.

Wbrew powszechnemu przekonaniu Irak nie jest krajem pustynnym, jak pustynna Arabia Saudyjska czy Kuwejt. Jest krajem wysoce zróżnicowanym klimatycznie i krajobrazowo. Na północy, ku granicy z Iranem i Turcją, wznoszą się wysokie góry, gdzie śnieg leży aż do późnej wiosny, a czasami do wczesnego lata. Na południu zaś, w pobliżu Zatoki Perskiej, rozciągają się szerokie bagna, gdzie domy stoją na palach, a komunikacje miejską stanowią wąskie łodzie przemyskujące między wysokimi trzcinami. Tylko środek kraju stanowi jakby płaską, pustynną patelnię, gdzie zagęszczenie ludności jest znikome, a przestrzenie nudne i ogromne.

Irak to kraj zróżnicowany pod każdym względem, również ludnościowym i wyznaniowym. Z religii najliczniejszą są muzułmanie, podzieleni na dwie wielkie frakcje: szyitów i sunnitów, ale są także chrześcijanie i wyznawcy innych pomniejszych sekt. Z ludności — są na północy Kurdowie, najliczniejsza i najbardziej odmienna z mniejszości narodowych, są Turcy, Egipcjanie i niewielu Żydów. Jest to wiec jakby kraj żyjący w ustawicznym podnieceniu i napięciu, a trwająca już cztery lata wojna z Iranem napięcia tego wcale nie umniejsza.

W tej ziemi, spękanej teraz od słońca i ubogiej roślinnością, znajduje się także ropa. I są białe, trwające ruiny miast i państw, które niegdyś były chluba świata.

Do Nimrudu dojeżdża się wąską, pełną dziur i wyboi drogą, skracającą ukośnie od dwupasmówki wiodącej do Mosulu, miasta wyrosłego na ruinach Niniwy, ostatniej stolicy Asyrii. Miłana po drodze wioska nie różni się chyba od wioski z odległej przeszłości: domy zamknięte w gliniane czworoboki, półnagle, brudne dzieci chlapające się w płytkiej, nieruchomej kałuży, osły i psy wędrujące między wąskimi uliczkami, i kobiety w czarnych abajach, potatowane na twarzach. Patrzą na nas ciekawie i wst-

czekując. Tylko porzucony traktor jest świadectwem naszego wieku. A już za zakretem widać wysoki nasyp zigguratu, a obok niska, szeroka brama pałacu królewskiego z IX wieku p.n.e. Wejścia do pałacu strzeżone od starości alabastrowe rzeźby stworzone, podobnych do skrzydlatego byka z ludzką głową i prosto uciętą, asyryjską brodą. Jest tych rzeźb dużo. Senny arabski przewodnik, mówiący lamana angielszczyzną, kroczy za nami beznamietnie, a napisy wyjaśniają wszystko. Była tu i „Mona Liza”, głowa kobiety o dziwnym uśmiechu, ale wiele eksponatów wywedrowało stąd do stolicy, a jeszcze więcej spłynęło wcześniej barkami do Basry, a stamtąd morzem dalej, do British Museum

Sultana, jakich duża część wymaszerowała stąd także.

Dlaczego trzy wielkie religie narodziły się właśnie tutaj? Czy była to szorstkość życia, czy styl bytowania, czy specjalne uduchowanie zamieszkujących tę ziemię ludów? Istniał już przecież Egipt i Rzym, i Grecja a więc nie mogły być sprawą wyrozumowania. Skąd bierze się ta szczególna, mistyczna podatność tych ludzi, gdzie religijny fanatyzm wciąż jeszcze jest rzeczywistością...

Mezopotamia — starożytna kraina, położona w dorzeczu Tygrysu i Eufratu.

Kopać tutaj zaczęto stosunkowo późno, pod koniec dziewiętnastego wieku. I jak na polach bitew, i tu

się daleko, a które przeminęło nagle, upadło, gdy zabrakło dynastii wyznaczonej jego wielkość. Dużo turystów kręci się między ruinami, w tym wielu rodaków z okolicznych i bardziej odległych polskich budowli. Mimo świadomości splendoru tego miejsca nie potrafię tak jak w Hatrze poczuć tej namacalnej łączności z tamtym czasem, tego ożywienia pustej formy, tego rozbudzenia wyobraźni i pozostaje niedosyt, jakby dotknęło mnie rozczarowanie, które jest irracjonalne i bezpodstawne, a jednak dotkliwie. Nie sposób nie pomyśleć w tym miejscu o przemijaniu wielkości i przewrotności historii. Nie sposób nie pomyśleć o czasie i nieublaganej właściwości jego przemijania.

wający sataniczne praktyki, jakby wyjęte z amerykańskich horrorów lat siedemdziesiątych. Bowiem na tej ziemi wciąż trwa niezmierna podatność na metafizyczne przeżywanie.

Jest taki klasztor, niewiadomego wyznania, w drodze do Acry, wioski, gdzie domy wznoszą się tarasowo na stoku wzgórza, oferując niezapomniany widok pełen piękna i symetrii. Dojechać samochodem można tam tylko na niewielki plac, wcinający płasko wierzchołek małego wzgórza. Staje się u stóp wzniesienia, skalistego i stromego, gdzie wąska ścieżka biegnie mozołnym zygawką pod górę między bryłami płaskowca i chudymi kępami karłowatych krzewów. Białe ściany klasztoru, z wąskimi otworami okien, przypominają fortecę, niedostępną i tajemniczą. Tylko samotna antena telewizyjna na dachu daje świadectwo dostępu nowoczesnej cywilizacji i tutaj. Ale dolina jest tu piękna, a wioska u podnóża — skryta w cieniu drzew cyprysowych. Bardziej przypomina to Grecję, niż kraj tak ubogi w zieleni. Wspinamy się tą wąską ścieżką, w czterdziestostopniowym upale, nieświadomi, że z drugiej strony zbocza prowadzi do klasztoru wygodna, szeroka, asfaltowa droga którą dowożą mnichom posiłki i przedmioty codziennego użytku. Za to gdy wkroczyliśmy przez obszerną bramę na teren klasztoru, ogarnia nas cień i chłód. Niski zakonnik w długiej czarnej szacie i z długą, postrzępioną, siwą brodą i długą, spiczastą czapką zarzuconą na plecy, wyglądający jak czarny krasnoludek zła — przemierza obszerny dziedziniec, z którego otwierają się drzwi do pojedynczych cel i szerokie schody na obszerny krużganek, z którego również prowadzi wejście do wielu ciemnych, długich pokoi, których wnętrza można obejrzeć przez zakratowane furtki. Pachnie zgnilizną i nieczystościami, a w jednej z cel bieleją kości i czaszki. Trwa remont klasztoru i jugosłowiańscy robotnicy mieszają wapno i szczeniaki narzędziami. Gdzieś z góry dochodzą głosy kobiet, rozbijając nasze wyobrażenia o surowości obyczajów tego miejsca i izolacji zamkniętych tutaj ludzi. Niewiele dowiemy się o tym przybytku, ani o jego mieszkańcach. Mniś nie rozmawiają z nami, a robotnicy przyjeżdżają tu na dzień, a po skończonej pracy zjeżdżają w dół, do swojego kampu o kilkanaście kilometrów stąd. Kiedyś, po skończeniu robót odjadą stąd na zawsze bez zaspokojenia ciekawości, jak my, pozostawiając w sobie wspomnienie ciemnego miejsca, w którym ludzie przemijają tajemniczo, bez echa i bez fantazji.

Wiesław Horabik

Ctesiphon leży w okolicach Bagdadu, nieco ponad trzydzieści kilometrów od miasta. Był to niegdyś najdalej wysunięty bastion królestwa Persów, w którym odpierano nieraz ataki Rzymu i innych potęg, chciwie pożądających coraz to nowych obszarów swego panowania. Ale i Persowie także wypuszczali się stąd raz po raz na zachód, powodowani tą samą chęcią dominacji. Mimo wspólnoty religii warto pamiętać, że Persowie i Arabowie to odmienne rasy. Może choć w części łatwiej będzie zrozumieć wybuchła nagle nienawiść i solidarność arabską, wspierającą niezmiennie w tym konflikcie Irak. Ctesiphon to ruiny ciekawe, szczególnie ze względu na luk łączący dwie części pałacu, dobrze zachowany i budzący podziw dla sztuki ówczesnych mistrzów budowlanych; luk ceglany bez podpór, o pięknym kształcie i architektonicznej doskonałości. To Julian dotarł tu także, bezskutecznie oblegając miasto, aż musiał odstąpić od murów bezpowrotnie. A w pobliżu, w nowoczesnych budynkach po drugiej stronie krótko przyciętego trawnika, oglądać można Panoramę. Obraz bitwy pod Qadisiya, kiedy to z kolei Arabowie odparli najazd perski i była to bitwa o ich istnienie. Współcześni propagandyści wojenni nazywają obecnie konflikt bitwą pod Qadisiya — Saddama Hussejna. Porównania te mnożą się na napisach dwujęzycznych w centrum miast i na wielkich plakatach, wyobrażających obecnego prezydenta w tradycyjnym stroju arabskim, na koniu i z szabłą w dłoni. Kult jego osoby jest podsycany tu ustawicznie i materializuje się wielkimi portretami, kilkumetrowej wysokości, wyciętymi z blachy i ustawionymi przy wejździe do każdej znaczniejszej osady, znaczkami z jego podobizną naklejanymi na szybach samochodów, jego wizerunkiem na cyferblatach zegarków, makatach i dywanach. A nieposiadanie w domu jego portretu, choćby najmniejszego, może być niebezpieczne.

Panorama jest imponująca, z efektami świetlnymi i dźwiękowymi, jak woskowy obraz bitwy pod Trafalgarem w Muzeum M-me Tissaud.

Istnieje w Iraku jeszcze wiele archeologicznych klejnotów, jak choćby Aszur, pierwsza stolica Asyrii, jak ruiny Niniwy, opasujące nowoczesne, najczystsze bodaj z irackich miast — Mosul, jak Ur i Eridu. Są jednak także, zwłaszcza na północy, relikty niedawnej przeszłości, tym ciekawsze, że zupełnie nieoczekiwane — klasztor i monaster, w których mniś służą religii własnej, odszczepionej od głównych nurtów teologicznych, cisi, niedostępni i budzący ciekawość odrębnością strojów i bytowania, wyglądu i codziennej rutyny życia klasztornego. Są wśród nich i wyznawcy Zła, odby-

Między Tygrysem a Eufratem (3)

Tropami proroków

w Londynie. Oglądamy jeszcze studnie (w której niedawno znaleziono cenne klejnoty), sale tronowe, łaźnie i wspaniałe, rzeźbione wizerunki króla z bukielem granatów w dłoni. Takich starych zabytków mało ma Europa, gdzie ustawicznie przetaczające się wojny ścierały te świadectwa historii na zawsze z powierzchni ziemi. Tutaj przysypywał je piasek pustyni i pozostawały w zapomnieniu, gotowe do odkrycia.

Zostawiamy Nimrud za sobą, daleko porzuconą, gwarną niegdyś stolicę potężnego, lupieskiego państwa. Za łagodnym zakretem drogi już jej nie widać. Pozostaje tylko płaska równina, rozciągnięta aż po skraj horyzontu.

Jadąc dalej, w kierunku Erbilu, mijamy dwa mosty na rzece Mały Zab, między którymi Aleksander Macedoński stoczył bitwę z Persami. Dalej, w głąb kraju, pod Samarą zginął rzymski cesarz Julian Apostata, dobitą ręką jednego z własnych żołnierzy. On to chciał cofnąć przeszłość i zabieć drogę przyszłości.

Hatra — wielkie miasto z naszej już ery, przy drodze z Bagdadu do Mosulu — zawsze robiła na mnie największe wrażenie z zachowanych na terenie Iraku starożytnych ruin. Może dlatego, że tak bardzo pomagała mojej wyobraźni w odtworzeniu tamtego życia poprzez zachowanie całego układu miejskiego, z częścią świątynną i pałacową, ale i obrzeżami przedmieść, gdzie żyła biedota i wyrastały kupieckie stragany. Miasto wznosił lud niewiadomego pochodzenia, a potem było już pierwszą stolicą Arabów. Niewiele można dowiedzieć się o niej samej. Pięknie zachowana kolumnada jest świadectwem złączenia wpływów kultury śródziemnomorskiej i staro-arabskiej. Białe posagi bogów mają doskonale kształty, jakby robione były ręką greckich mistrzów. Widzę tutaj, jak do miasta, wielką, szeroką drogą wtaça się kawalkada jeźdźców wracających z wyprawy, jak tłoczą się ludzie przy miejskiej bramie, jak w niebo wznoszą się pachnące, święte dymy religijnych ogní. To wspaniale zachowane miasto budzi podziw i szacunek.

Zawsze zastanawiały mnie metafizyczne skłonności ludzi z tej części świata. To przecież tutaj wyrosły trzy wielkie religie współczesnej cywilizacji — chrześcijaństwo, islam i judaizm. Tędy wędrowali prorocy i apostołowie. Jak łatwo zrozumieć mi teraz płaskie dachy domów Jerozolimy, widziane na obrazie modlącego się Chrystusa; jak łatwo widzieć go jadącego na osiołku, w długiej, welnianej sukmanie, i jak łatwo odczuć śmieszność naszych wielkanocnych „palm”. Jak łatwo też zrozumieć i kolorowość naszych kresowych Sarmatów, do których moda na złoćistość szła z wojskami

ścierały się pragnienia anglo-francuskie. Często kopali obok siebie, jak na terenach Niniwy, często szukali szczęścia w różnych regionach kraju. Wzgórza Kujundżuk, pokryte starym mułmańskim cmentarzem, do dziś pozostaje niedostępne. Nawet sultańskie giejty nie złamały oporu tutejszej ludności. Kopali także Niemcy, ale dopiero wciąż rosnące wpływy Brytyjczyków, a potem przyłączenie Iraku do Korony zapewniły Anglikom hegemonię i pozwoliły wzbogacić ich muzea szczątkami dawnych cywilizacji. Prowadzenie wykopalisk było na tym terenie niezmiernie trudne. Działo się tak za sprawą klimatu, wrogości tuhyliczej ludności, niedoskonłości środków transportu. Obecnie wykopaliska archeologiczne prowadzi irackie państwo wspomagane przez specjalistów z całego świata. Z pewnością jeszcze wiele tajemnic pokrywa ta nieurodzajna, piaszczysta ziemia.

W pobliżu Samary wznosi się w niebo spiralny, pochyły minaret z czasów Kalifatu. Można wejść na jego szczyt wąskimi schodkami, opasującymi wieże, których nie chroni balustrada. Za to widok z góry jest piękny na miasto, z wielkim, złotym meczetem w centrum, na ruiny pałacu (ponoć Szeherazydy) i na poskręcaną, szeroką rzekę o kamienistych brzegach i porośniętych sitowiem zakolach.

A na południe od Bagdadu wznosi się najcenniejszy zabytek irackiej starożytności — ruiny Babilonu. Tym razem dostęp do niego jest dobrze oznakowany i zbłądzić trudno. (Zjazd z ruchliwej, dwupasmowej drogi do Kerebeli.) Wejście do miasta-państwa otwiera wielka, świeżo odrestaurowana brama, z malowidłami na lukach i sklepieniu. Przed bramą, przy parkingu kioski, gdzie można kupić przewodniki i stylizowane figurynki z białej gliny i gipsu, których autentyczności nikt nie usiłuje nawet sugerować. Tylko mali chłopcy biegnący między ruinami będą nam oferować „autentyczne” babilońskie pamiątki. Przy bramie — obszerne muzeum, gdzie w gablotach znajdują się przedmioty znalezione w ruinach: szkielety i czaszki ludzkie, wielka makieta miasta, obraz przedstawiający wejście kolumny żołnierzy w obręb murów, szczątki ozdób, fragmenty rzeźb i ornamentyki. I wizerunek babilońskiego lwa, zadziwiający swą doskonałością, rzeźba, która już stała się symbolem tego miasta, a której oryginał zobaczymy po przebyciu drogi procesyjnej, między wysokimi ceglannymi ścianami, na których mnożą się płaskorzeźby i reliefy, przedstawiające ptaki i sylwetki zwierząt. Duży jest obszar tej stolicy króla Nabuchodonozora, miejsca śmierci Aleksandra Wielkiego, potężnego niegdyś i bogatego miasta starożytnego świata, którego sława ciągnęła

JAKA jest ta nasza współczesna polska proza? No właśnie... Ale nie tylko ta z ostatniego dziesięciolecia czy nawet dwudziestolecia. Lecz ta od ponownego użycia niepodległości w 1918 roku, gdy — według Gombrowicza — Polak obudził się bogatszy o paszport, ale uboższy o duszę. Jakże przez te wszystkie lata, przez te wszystkie kolejne pokolenia pisarzy proponowano nam „modele świata i człowieka”. A zresztą czy w ogóle cokolwiek ta proza proponowała konkretnego, choćby w kategoriach modelu bohatera? Czy aby nie sprowadzało się to wszystko do dość intuicyjnego i nie zawsze na najwyższym poziomie artystycznym oglądu rzeczywistości, w której nieszczęsny bohater zamiast podmiotu był zaledwie wpisany w wydarzenia przedmiotem? Czy w tej sytuacji proza ta starała się stawiać konkretne egzystencjalne — bez względu na światopogląd i racje polityczne — pytania? I czy starała się choć częściowo udzielać na nie odpowiedzi?

To tylko wyimek pytań, które stawiać musi każdy, kto przystępuje do śledzenia tropów historycznych naszej prozy dwudziestego wieku. Większość powieści rozpatrywanych indywidualnie inny daje obraz rzeczywistości literackiej, aniżeli gdy ta sama powieść wpisana zostaje w ciąg dokonań polskiej prozy ostatnich sześćdziesięciu lat. Inne wówczas stawia się tym utworom wymogi, inne, niestety, przyjmuje kryteria wartościowania. Właściwie też wówczas z całą ostrością daje się prześledzić niedostatki tej prozy, jej swoliste porażenie prowincjonalizmem i zaściankowaniem wobec równoległej prozy europejskiej. I bynajmniej nie jest to sprawa kompleksu, ale literackiej rzeczywistości. Okazuje się przy tym, iż na przestrzeni tych wszystkich lat to, co najwartościowsze wpisane zostało w tę prozę, wywodzi się z tradycji polskich rodzimych obsesji i kompleksów, które tak ostro i często wyszydzane były i są przez krytykę.

Ale ta sama krytyka, kiedy przystępuje do wartościowania na serio, zdolna jest do sprawiedliwych ocen, dostrzegania tego wszystkiego, co rzeczywiste w tej prozie jest najwartościowsze, najbardziej nośne, niepartykularne. Prześledzić się to daje w lekturze „Modeli świata i człowieka” — tomie szkiców o powieści współczesnej, który pod redakcją Jerzego Świecha ukazał się w Wydawnictwie Lubelskim. W szkicach tych, różnego autorstwa, znajdujemy nie tylko pytania stawiane dzisiejszej literaturze, ale i próby odpowiedzi na nie, jak i szukanie bardziej uogólniającego modelu współczesnej prozy.

Już we wstępie czytamy: „Mówi się nie od dziś o kryzysie tradycyjnej powieści, słyszy się, że niektóre współczesne okazy tego jakże popularnego gatunku coraz mniej, niestety, nadają się do czytania. Pisarze utracili kontakt z czytelnikami, skoro ci w przeróżnych lamigłówkach dzisiejszej prozy przestali się zupełnie orientować. Dezorientacja bywa także wynikiem zawiedzionych oczekiwań”.

Proza, której się stawia pytania

Tadeusz J. Zółciński

Wszystko to prawda, ale równocześnie też powieść dwudziestego wieku przeszła nie tylko ogromną ewolucję artystyczno-językową, ale — co ważniejsze — uświadomiła sobie, iż jej jeszcze dwudziestowieczna jakby powinność bycia realistyczną stała się mało przydatną w dobie konkurencji sztuki wizualnej spod znaku choćby filmu. A tu doszedł jeszcze kryzys dotychczas obowiązujących wartości etycznych, inny też rodzaj pytań zarówno światu przedstawionemu, jak i nie przedstawionemu zaczęli stawiać czytelnicy. I oto literatura, wciąż jednak wierząc w swoje posłannictwo, zmuszona została do odejścia od skonwencjonalizowanego przedstawiania świata metodami ubiegłowiecznego realizmu. Zaczęła szukać nowych dróg, które z końcem naszego stulecia włączyły się jeszcze niewykryształizowane. I tylko krytyka na podstawie wartościowania dotychczasowych dokonań może w trybie przypuszczającym prorokować przyszłość tej literatury. Oczywiście jest to niebezpieczne, jako że literatura zawsze była uwikłana i uzależniona od nieprzewidywanych wydarzeń natury historycznej.

Zatrzymajmy się jednak na książce „Modele świata i człowieka”, którą wpisać należy do ciekawszych osiągnięć naszej krytyki ostatnich lat. Zdecydował o tym niewątpliwie krąg poruszonych problematyki. Wystarczy wymienić niektóre tytuły zbioru: Krystyna Jakowska „Oblicza realizmu w polskiej powieści lat trzydziestych XX wieku”, Maria Bujnicka „Romans popularny — baśń kultury masowej”, Ewa Wiegand „Austria felix, czyli o micie Galicji w prozie współczesnej”, Jerzy Jarzębski „Między „realizmem” a „prawdą” (o polskiej prozie po wojnie)”, Jan Błoński „Kto jesteś”, Jolanta Ługowska „Proza Tadeusza Nowaka a problemy współczesnej literatury nurtu ludowego”, Bogusław Wróblewski „Świat jednak przedstawiony. O prozie lat siedemdziesiątych”.

Już z wymienionych tytułów wylaniają się hasła wywoławcze różnorodnych problemów znajdu-

jących się w kręgu zainteresowań krytyki i to, jak warto pamiętać, nie od dziś. Tutaj jednak nastąpiła tego jakby koncentracja, pozwalająca prześledzić równocześnie różnorodność i odmienność wartościowania zjawisk literackich w prozie polskiej przez różnych krytyków, jak i podjęte w sposób zamierzony przez autora tej antologii, próby wyważenia nie tyle obiektywnego co właśnie dyskusyjnego modelu współczesnej prozy polskiej. Książka ta, zarówno poprzez zestaw stawianych pytań, jak i podejmowane próby odpowiedzi na nie, poprzez odautorskie propozycje interpretacyjne i porządkujące zjawiska literackie w ciągu historycznym, jest w swej istocie książką niesłychanie kontrowersyjną i dyskusyjną. Inna sprawa, że wymagająca od czytelnika nie tylko odczytania w samej materii powieściowej, ale i historyczno-socjologicznej.

Lektura niektórych szkiców utrudniona jest przez fakt omawiania książek, które dawno pokryły kurz czytelniczego zapomnienia. Kto bowiem dziś zagłębia do powieści Zarzyckiej, Grzymały-Siedleckiego, Wyleżyńskiej, Maciejowskiego, Drewnowskiej? Kto dziś zagłębia do powieści Włodzimierza Odojewskiego, choć wydawane były jeszcze nie tak dawno? Czyż nie podobny los spotkał dziś powieści młodych autorów z lat siedemdziesiątych spod znaku „rewolucji artystycznej”? A przecież bez znajomości tych książek trudno zrozumieć zarówno klęski jak i sukcesy tej prozy, jej wpisanie się na trwałe w czytelniczną świadomość.

Nie jest to z mojej strony zarzut, lecz jedynie konstatacja. W sumie bowiem „Modele świata i człowieka” stanowi próbę stawiania prozie pytań, konkretnych zarzutów, ale i szukania odpowiedzi na nienowe w naszej krytyce pytania: los polskiej prozy wpisany w losy naszej najnowszej historii.

Modele świata i człowieka. Szkice o powieści współczesnej pod redakcją Jerzego Świecha. Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1983 r., s. 391, cena zł 300.

Poezja w epoce mass mediów

Ciąg dalszy ze str. 1

realizmu (Harasymowicz), języka (lingwisty), polityki (Nowa Fala), turpizmu, barokowych stylizacji itd. Nasza poezja zaczęła stawać się azylem, ucieczką, sztuką stwarzania pozorów, sztuczną rzeczywistością.

W ślad za tą strategią poszły bezpłodne eksperymenty językowe, mające uwiarygodnić „oryginalność” i „amialne nowatorstwo” tej poezji. Zaczęły powstawać, jak grzyby po deszczu, wiersze uduchowione, potwornie sztuczne, nie komunikujące czegokolwiek. Odnosi się wrażenie, jakby pisanie tego typu wierszy rzucił nasłupujący „wzorzec wartości”: im tekst bardziej uduchowiony — tym lepszy, tym bardziej wartościowy.

Konsekwencją tego stał się nikły oddźwięk tej poezji. Czytelnik znalazł się w sytuacji nie zawinionej bezradności. Biorąc do ręki tomik wierszy, już z góry wiedział, że będzie musiał z trudem przedzierać się przez gąszcz zawilich konstrukcji metaforycznych, semantycznych itd., bez gwarancji zrozumienia utworów, przeżył satysfakcji estetycznej. Niekomunikatyw-

ność tekstów współczesnych paraliżuje czytelnika ciekawość.

Oczywiście poezja zawsze będzie dość trudna, wyrafinowana formą literatury, operująca właściwymi sobie środkami wyrażania, zawsze ma prawo do eksperymentu. Ale zawsze też musi ją cechować jakaś wewnętrzna logika, dyscyplina oparta na zasadzie porozumienia się z czytelnikiem.

Druga przyczyna niepopularności poezji tkwi, moim zdaniem, w samym typie naszej kultury, której podstawowym medium stały się obraz i dźwięk. Wiek XIX był wiekiem słowa. Schyłek wieku XX to dominacja środków audiowizualnych: radia, filmu, telewizji. Środki audiowizualne, dysponując ogromną siłą oddziaływania, znacznie pomniejszyły rolę książki. Obecnie wprowadzenie w kulturę nie dokonuje się już za pośrednictwem tekstów drukowanych, ale za pośrednictwem masowych środków przekazu. Ukształtowały one nowy typ wrażliwości estetycznej, odwołującej się do wzroku i słuchu, a nie do intelektu i wyobraźni.

Kultura masowa, rozpowszechniona przez środki masowego przekazu, ma jedną, zgodną z nazwą, do odbiorców przeciętnych, nie mających głębszych aspiracji estetycznych. Dlatego zazwyczaj serwuje ona utwory łatwe, często mało wartościowe, trywialne,

oparte na stereotypach, nie wymagające trudu przyswojenia, nie naruszające atmosfery odprężenia i wypoczynku. Odbiorca takiej „sztuki” przyzwyczajony jest do bierności. Wykształca się w nim wstręt do wszystkiego, co wymaga autentycznego duchowego napięcia. Przeciętny odbiorca domaga się głównie łatwej rozrywki, powierzchownych wzruszeń i sensacyjności. Telewizja, magazyn ilustrowany, gazeta — nastawione są głównie na zaspokajanie tych oczekiwań. Jak grecka kultura żyła mitologią, tak nasza żyje sensacją. Program telewizyjny to najbardziej ekscytujący poemat współczesności, który nie tylko wpływa na naszą świadomość i emocje, lecz również wyznacza codzienny rytm naszego dnia. A sygnał lubianej audycji czy dziennika TV staje się tym, czym dzwony w średniowieczu, które zwiastowały wspólne uczestnictwo w jakimś obrzędzie czy rytuale kościelnym.

Dlatego poezja, w kontekście kultury masowej, musi wydać się sztuką hermetyczną, nieprzystępną, budzącą nieufność odbiorcy. Czytelnik będzie ją traktował jako coś zbędnego, zawilego, sztucznego w stosunku do potocznego języka. Odrzuci ją, gdyż zamiasł błogiej przyjemności, dreszczyka sensacji — proponuje wysiłek umysłu i serca.

Czy zatem poezja ma jakieś szanse wyjścia z czytelniczego impasu? Może najskuteczniejszym sposobem jej uratowania, zapewnienia popularności, byłoby wykorzystanie w większym stopniu środków masowego przekazu: radia, telewizji, nagrań płytowych z recytacjami i piosenką poetycką? Jako miłośnik i popularyzator poezji muszę stwierdzić, że niestety skuteczność mass mediów w kształtowaniu właściwej perspektywy odbioru liryki nie jest duża. Poezja, będąc sztuką intymną, jest jedną sztuką, której nie da się zaadaptować dla celów komercyjnych, jak można postąpić np. z muzyką, prozą czy nawet malarstwem.

Wynika to z głębokiej odrębności systemów semiotycznych, w których ramach funkcjonuje poezja i sztuki audiowizualne. Kwestią zasadniczą jest

tu nikła możliwość przekładu znaków jednego systemu (którego właściwym medium jest druk) na system, którego medium stanowi obraz i dźwięk. Inaczej z prozą. Powieść i inne gatunki narracyjne mogą być prezentowane nie tylko poprzez druk, lecz również poprzez adaptację filmową, słuchowisko czy telewizyjny serial. Oczywiście nawet w tym przypadku tekst drukowany i jego audiowizualne przeróbki są czymś jakościowo różnym. Np. film „Noce i dnie” jest czym innym niż tak samo zatytułowana powieść Dąbrowskiej. Ale w społecznym odbiorze książka i jej filmowa adaptacja są traktowane jako ten sam fakt artystyczny. Problem ten znają dobrze naukowcy i artyści, którzy obojętnie adaptację utworu będącego lekturą szkolną, zazwyczaj nie widzą już potrzeby jej przeczytania.

W jakiej formie poezja może być przekazywana poprzez środki masowego komunikowania? Prezentacja jej w najważniejszym dziś medium kulturalnym, jakim jest telewizja, napotyka na duże trudności. Poezja, ze względu na swój afabularny, polisemantyczny charakter, nie może być przelożona na język obrazów. Wierza nie można przerobić na scenariusz, sfilmować, „opowiedzieć” poprzez logiczny ciąg obrazowych sekwencji. Mimo że wiersz również zawiera obrazy, np. pejzaże, to jednak przysługuje mu zupełnie odmienny typ ikonizacji — ikonizacji kreacyjnej, a nie mimetycznej.

Poezja może istnieć co najwyżej w aspekcie medialnym, w formie mówionej i śpiewanej. Toteż w telewizji jak i w radiu popularyzuje się wiersze głównie w postaci recytacji i nagrań wokalnych. Mamy więc tutaj do czynienia z przekształceniem tekstu do czytania w tekst do słuchania, a więc oderwanie go od przestrzeni drukowanej książki, a zespolenie nie tylko z głosem, lecz także z aktem wygłoszenia i mówianym. Czy jest to zupełnie bez znaczenia dla właściwego odbioru wiersza? Otóż nie. Wykonanie dźwiękowe utworu poetyckiego powoduje, w różnym stopniu, zakłócenia w jego percepcji.

JOZEF Tarłowski kraży po Lublinie; zajrzy na Stare Miasto, odwiedzi Kalinowszczyznę, spenetruje Kośminek i Czeczów, wdepnie do skansenu na Sławinku — jakby to wszystko było jego własnością.

Piechur z niego wytrwały, choć człowiek — wysoki, a na dodatek obciążony teczką prawie przedwojenną, solidną i pokatą, a bywa że i zielonym worem jakimś sportowym, no i kapotą z kapturem na wypadek deszczu. Przeszedł tyle kilometrów, że z powodzeniem mógłby ubiegać się o wpisanie do księgi rekordów Guinnessa.

A gdy się już tak nachodzi, trach! rozkłada małe krzeselko lowieckie i przystępuje do roboty, wyciągając z bagażu, dajmy na to, piórka polskie lub radzieckie, bardzo twarde i sprężyste, najlepsze do architektury, która wabi jego oko najmocniej — może dlatego, że zbliżył się do niej podczas studiowania historii sztuki, ale może i dlatego, że budowla taka niby stoi pewnie na ziemi, a zarazem jakby leciutko oddycha fasadą za sprawą promieni słonecznych, baraszkujących na detalach i oknach pałaców, kościołów, dworów, kamienie zabytkowych i domów blokowych. Zresztą i sam Tarłowski zachowuje się podobnie: zwykle opanowany, „na luzie”, napina się czasami, grymasami twarz pokrywa. Najwierniejszy wszak wizerunek osobowości tego rodowitego lublinianina znajdujemy w jego rysunkach: zdyscyplinowanych kompozycyjnie, podporządkowanych kilku zasadniczym regułom (pion — poziom — perspektywa zbieżna i gdzieś tam zwornik przestrzenny układu), ale rozdygotanych w sferze faktury, która zdaje się być efektem pospiesznego ataku na powierzchnię papieru. Kreska, dziesięć kresiek obok siebie, białe pole, dwadzieścia kresiek (jedna na drugiej), znów biała pauza i pięćdziesiąt kresiek rozlewających się w czarną plamę o kształcie barokowej wieży!

Wykonanie jednego rysunku pochłania Tarłowskiemu przeciętnie godzinę, która — owszem — jest pracowita, ale efekty daje lekkie w konstrukcji i wyrazie, migotliwe i zwiewne, nie mniej zapadające w pamięć obserwatora. Nawet folklorysty staromiejscy z prytą w herbie potrafia docenić te piórka, komentując na żywo i ze znanstwem: „Widzisz, jaką ma rękę, s...

syn!“. Ich samych nie wolno jednak portretować, bo wietrzac w tym jakiś milicyjny podstęp, skłonni są spuścić lanie takiemu artyście.

Dodajmy dla równowagi, że około 20 rysunków Tarłowskiego trafiło swego czasu do zbiorów lubelskiego Muzeum Okręgowego.

A 16 linorytów, wykonanych na podstawie szkiców piórkiem i przedstawiających motywy architektoniczne Lublina i okolic, zakupiła niedawno, w czerwcu, biblioteka wrocławskiego Ossolineum.

W swoim bagażu piechotnym Tarłowski posiada i farby akwarelowe: Karmańskiego lub Talensa, pędzeli tej ostatniej firmy oraz papier nie-

roboty. W minionym roku nasze Muzeum Okręgowe zakupiło siedem akwarel z sygnaturą „Tarłowski“ w dolnym prawym rogu, łączących walory dokumentu z urokami dekoracyjnej kompozycji kolorystycznej.

Poza tym Tarłowski uprawia malarstwo olejne na sklepcie lub płótnie (małe obrazki, max. 30 na 40 cm), monotypie i rysunek lawowany.

Bodaj najliczniejszy rozdział jego twórczości stanowią jednak karykatury (m.in. z cyklu „Bibliofile lubelscy“, wystawionego w 1982 r.). Wykonał ich setki, może tysiące, z reguły unikając przesławczej deformacji, na rzecz dobrotliwego wskazania, że na przy-

wareckiego, Adama Witusika, Ryszarda Orłowskiego, Jana Gurbe, Marka Zdrojewskiego, Alfreda Gaudę, Marka A. Jaworskiego, Mieczysława Kurzątkowskiego, Jana Milczka (dawnie samochody) — jak dotąd, 38 osób.

Wiele wskazuje na to, że forma ideograficzna ekslibrisów Tarłowskiego nie znajduje precedensów w Polsce. Ossolineum zakupiło 37 takich prac, Biblioteka Lopacińskiego nieco mniej. Na wielkim konkursie Rawicz '83, na który 214 autorów krajowych i zagranicznych nadesłało ponad 2000 ekslibrisów, lublinianin otrzymał honorowe wyróżnienie z medalem oraz miejsce dla 20 swych grafik na wystawie pokonkursowej.

Moim jednak zdaniem, najważniejsza sprawa Tarłowskiego spełnia się na innym polu. Pan Józef ukończył historię sztuki (1955 r.), ale karierę w tej dziedzinie wyczerpał na pracy magisterskiej o freskach z tzw. winiarza na Starym Mieście. Należał do „nowoczesnej“ grupy „Zamek“, ale wycofał się z niej po tym, jak ukradziono mu prace z wystawy formacji w słynnej galerii „Krzywego Koła“ w Warszawie. Robił makatki, pracował w „Lubgali“ — podejmując kolejne studia: matematyczne. Po ich ukończeniu został asystentem w UMCS, by po trzech latach opuścić uczelnię (Okres ten wspomina z rozrzewaniem.) Później rozpoczął pracę w szkole, przechodząc szczęśliwie przez kilka placówek. Obecnie uczy matematyki w zawodówce dla kelnerów, kucharek, krawców, blacharzy, fotografów, stolarzy, wielce sobie chwając ten przybytek...

Bez względu jednak na czas, miejsce i sytuację, Tarłowski zawsze rysował i malował, przez 30 lat z hakiem przemierzając tysiące kilometrów dróg lubelskich i okolicznych. Trochę na tym zarabiał, fakt, ale nie żądz mamony, skądinąd naturalna, kierowała go na szlaki. On po prostu lubił to robić, znajdując w owym światku coś w rodzaju azylu. A rysunki i akwarele rozdawał ludziom — setkami. Na początku lat siedemdziesiątych starał się co prawda o przyjęcie do lubelskiego ZPAP, lecz bezskutecznie (chwala Bogu). Pierwszą wystawę indywidualną miał dopiero w 1979 roku.

Jest to w naszych czasach przypadek wyjątkowy. Casus Tarłowski.

IJK

Casus Tarłowski



miecki albo holenderski, który także pokrywa obrazkami budowli, tyle że usytuowanych w rozleglejszych, naturalnych pejzażach, choćby na pagórkach skansenu, gdzie ma okazję pogawędzić z wicedyrektorem muzeum, Mieczysławem Kurzątkowskim, synem Juliusza — świętego nauczyciela rysunku i historii sztuki w gimnazjum im. Staszica, dokąd właśnie uczęszczał pan Józef.

Namalowanie jednej akwareli pochłania Tarłowskiemu najwyżej półtorej godziny, co zresztą zrozumiałe, albowiem technika ta nie znosi dłoni leniwej i braku zdecydowania. Jak raz położyłeś plamę — koniec, wszelkie korekty mogą jedynie popsuć jakoś

kład pan Kazio ma nos kroguleczy. Zainteresowało się nimi warszawskie Muzeum Karykatury.

Te portreciki stały się punktem wyjścia do grafiki, która wielce podniosła popularność pana Józefa, i tak niemałą. W 1984 roku zaczął otóż wykonywać ekslibrisy, których centralnym motywem jest właśnie karykatura konkretnej osoby, wpisana w symbole, atrybucje i dekoracyjne napisy — identyfikujące profesję i charakterystyczne zainteresowania delikwenta, uwikłanego dodatkowo w kompozycjach w dowcipne scenki rodzajowe. Odbijane w offsecie, rzadziej w cynkografii, ekslibrisy przedstawiają na ogół znanych lublinian: Henryka Ga-

Recytacja wiersza przez radio jest jego wykonaniem; w telewizji recytacja wiersza nieuchronnie staje się spektaklem: nie wiersz jest prezentowany, lecz scena recytowania wiersza. Odbiorca koncentruje się nie na wygłaszanym tekście, ale na sposobie jego artykulacji, warunkach, w jakich się ona odbywa, wreszcie na cechach i osobowości recytującego. Uwaga odbiorcy rozprasza się, z trudem chwytając on sens wiersza.

Jest jeszcze inny czynnik, który powoduje przeważnie mniejszą nośność intelektualną recytacji. Wiąże się on z typem recytowanej poezji. Deklamacja, owszem, ułatwia rozumienie, przeżywanie utworów lirycznych, ale tych, które zawierają silny pierwiastek retoryczny. Utwory retoryczne w samej swej strukturze zawierają istotne właściwości słowa mówionego. Klasykistyczna oda, satyra, wiersz-apel to utwory, w których perswazyjny, pouczający ton kierowany w stronę odbiorcy staje się w trakcie recytacji bardziej wyrazisty. Umiejętna recytacja bez trudu odsłania główne przesłanie takich wierszy.

Inaczej sprawa wygląda w przypadku poezji współczesnej, pozbawionej elementów retorycznych, silnie intelektualizowanej, o daleko posuniętej wieloznaczności, operującej aluzją, przemilczeniem, ironią. Taka poezja, którą zapoczątkował Norwid, z trudem poddaje się deklamacji. Tym bardziej, że dominującym typem wiersza współczesnego stał się tzw. wiersz wolny, pozbawiony jakiegokolwiek rygorów kompozycyjnych, rezygnujący nawet ze znaków interpunkcyjnych. Wiersz wolny „znaczy“ poprzez siebie, koncentruje uwagę na sobie, wciąga odbiorcę w świat swych mikrostruktur. Innymi słowy: logika wiersza jest przypisana do jego zapisu graficznego, który kreuje wewnątrztekstowe wskaźniki interpretacyjne. Recytacja wiersza wolnego jest jego interpretacją; i to jedna z możliwych.

Dlatego np. nie dają dużych korzyści dydaktycznych telewizyjne audycje dla szkół średnich poświęcone prezentacji

poezji współczesnej. Główną formą tych audycji nie jest gruntowna analiza trudnych przecięt tekstów, lecz aktorskie deklamacje. Wiersze realizowane w głośnym czytaniu brzmią blado, banalnie i nieprzekonywająco. Tak jest w przypadku recytacji wierszy Różewicza, Herberta, Lipskiej. Język ich wierszy — prowokacyjnie prosty, kolokwialny — zawiera zazwyczaj „wewnętrzny głos“, który nadaje utworowi rangę symbolu, parabol. Recytacja gubi ten symboliczny wydźwięk utworu.

Coraz bardziej popularną formą rozpowszechniania poezji staje się piosenka poetycka. Jest prezentowana w radiu i w telewizji. Usłyszeć ją można z estrady, nierzadko w znakomitym wykonaniu E. Demarczyk, W. Warskiej czy Cz. Niemena. Doczekaliśmy się nawet prawdziwego festiwalu tego typu piosenki (Olsztyn). I nie w tym dziwnego. Już od dawna dawna poezję i muzykę uważano za bliźniaczkę syjamskie.

Teraz, kiedy poezja przeżywa kryzys odbioru, sądzi się powszechnie, że uratuje ją piosenka. Czy rzeczywiście „manewr“ z piosenką wychodzi liryce na dobre?

Moje obserwacje związane z nauczaniem poezji w szkole potwierdzają dużą popularność piosenki poetyckiej wśród młodzieży, która z akceptacją odnosi się do tej formy prezentacji poezji na lekcjach. Ale jednocześnie lekcje, na których wykorzystywałem nagrania z piosenką poetycką, dostarczyły mi następujących spostrzeżeń: mimo że młodzież wykazywała zainteresowanie wykonaniem wokalnemu wiersza, to jednak przez to utwór nie stawał się dla niej bardziej komunikatywny. Zrobiłem prosty eksperyment. W dwóch równoległych klasach przy omawianiu wiersza Norwida „Bema pamięci żałobny-rapsod“ prezentowałem nagranie Niemena tego wiersza. W jednej klasie młodzież słuchała utworu bez uprzedniego przeczytania wiersza, w drugiej zaś po przeczytaniu. Okazało się, że większe trudności w uchwyceniu jego sensu miała mło-

dzie, która tylko tego utworu wysłuchała. Wielu uczniów z tej grupy nie potrafiło nawet określić, co jest motywem wiersza Norwida. Owszem, sugestywna, rytmiczna muzyka Niemena robiła wrażenie, wywoływała określony nastrój. Ale nie mogła ona uchwycić tego, co najistotniejsze w tym wierszu: głębokich refleksji historycznych Norwida. Przecież nie chodzi w tym utworze o autentyczne sprawozdanie z pogrzebu generała Bema, ale o poetycką wizję procesu dziejowego, poszukiwanie sensu historii, uwytknienie roli wielkich idei. I w istocie rzeczy nie Bem jest bohaterem wiersza. Bohaterem jest tkwiąca w zbiorowości i pobudzająca ją do czynu pamięć o Bemie. Nie Bemowi ten utwór jest poświęcony; poświęcony jest Bema pamięci, która będzie twórczym impulsem w działaniu przyszłych generacji. Gdyby zaś ten utwór odczytywać dosłownie, tzn. jako obraz pogrzebu gen. Bema — a taką właśnie jednoznacznie perspektywę narzuca wykonanie wokalne uwytkniające dobitnie warstwę wizualną i eufoniczną utworu — wówczas obraz ten (m.in. ze średniowiecznymi placzkami) musi wydać się bardzo anachroniczny. Ci uczniowie, którzy przed wysłuchaniem wokalnemu utworu go nie czytali, byli skazani na odbiór mimetyczny, jednoznaczny, bez szansy uchwycenia zasztyfowanych głębiej znaczeń. Będąc pod wrażeniem efektownego nagrania muzycznego wiersza „Bema pamięci...“, bardziej chyba zachwycali się Niemenem, a nie Norwidem.

Odbiór wierszy poprzez muzyczne, wokalne wykonanie musi z konieczności być afektywny, oparty na ekspresji i bogatej sferze emocjonalnej. Słuchacz wtedy biernie poddaje się wzruszeniom i nieświadomym przeżyciom estetycznym. Ale taki odbiór, typowy dla dzieła muzycznego, wcale nie jest typowy dla dzieła poetyckiego. Owszem słyszymy muzykę, słyszymy słowa. Ale w poezji wszystko jest pomiędzy słowami. W poezji słowa, zdania, obrazy znaczą najpierw to, co znaczą, a dalej znaczą jeszcze i to, czego poeta nie napisał wprost, czego trzeba się domyś-

lić, odczuć, dopatrzeć wyobraźnią i własną, czytelnika, wrażliwością. Wiersz żyje przedłużeniami znaczeń. Jego treści refleksyjne, pojęciowe nie są w pełni przekładane na język muzyczny. Zresztą dobry wiersz nie potrzebuje muzycznego dopełnienia. Poeta nigdy nie traktuje swego utworu w postaci otwartej (jak jest w przypadku noweli, powieści, z których można zrobić scenariusz filmu czy słuchowiska). I nikt ze znaczących poetów nie traktuje swojej twórczości tak, by ktokolwiek poza nim miał tu jeszcze coś do dodania. Fakt, iż kompozytor sięga po jakiś wiersz, jest sam w sobie może miłym wyrazem hołdu złożonego poecie, ale też niczym więcej.

Wiersz (nawet znakomity) zawsze przegra z muzyką. Stając się w wykonaniu wokalnemu „tekstem“, dużo traci ze swego poetyckiego charakteru. Natomiast piosence nie zaszkodził nawet kiepski tekst; może być bełkotliwy czy niezrozumiały. Zachwycamy się przecież zagranicznymi przebojami, mimo że najczęściej nie rozumiemy tekstu.

Reasumując: czy zatem należy odrzucić wszystkie wyżej wymienione formy popularyzacji poezji poprzez telewizję, radio, nagrania płytowe itd.? Nie. Bowiem przybliżają one poezję najszerszemu kręgowi odbiorców, mogą w jakiejś mierze rozbudzić zainteresowanie tą piękną sztuką. Zeby jednak poezja była naprawdę źródłem cennych przeżyć, pomocą w szukaniu miejsca człowieka w życiu, przewodniczką po skomplikowanym świecie wartości, musi być odbierana w samotnym skupieniu, koncentracji i wewnętrznym napięciu. Nie lekceważąc żadnej z form, dzięki którym utwór znajduje swego adresata (lub nie znajduje), żywić przede wszystkim ufnosć w ten podstawowy, najgłębiej urzeczywistniony kontakt, zamykający się w trójkacie: poeta — tekst — czytelnik.

Stanisław Rojek

W przededniu festiwalu w Moskwie

ZBLIŻA się Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów w Moskwie. Z Polski wyjeżdża na festiwal sześciuosobowa grupa młodzieży, reprezentującej wszystkie organizacje młodzieżowe naszego kraju. Od kilku miesięcy trwają przygotowania do tego ważnego w życiu młodzieży wydarzenia. Odbývają się szkolenia, obozy i przede wszystkim festiwalowe czyny. W akcji przygotowań uczestniczy cała młodzież zrzeszona w organizacjach.

Z województwa lubelskiego wyjeżdża do Moskwy kilkunastoosobowa grupa młodzieży, w dwóch zespołach: politycznym i turystycznym. W grupie politycznej znalazło się siedem osób; ZSMP reprezentować będą Anna Szubewska, opiekunka Koła Związku w Sobieszynie, Roman Menczewicz, przewodniczący Zarządu Fabrycznego ZSMP w FSC. Przedstawicielami ZMW będą: Bożena Warzszak z Ciechanek Łańcuckich i Andrzej Szwarzgołński, nauczyciel z Naleczowa. Związek Studentów Polskich reprezentuje przewodniczący Rady Uczelnianej UMCS Józef Wzorek. Ze Związku Harcerstwa Polskiego wyjeżdża dwoje przedstawicieli z województwa lubelskiego: Janina Galiszek, instruktorka Hufca w Opolu Lubelskim, i Stanisław Dąbrowski, instruktor Hufca Lublin.

O przygotowaniach festiwalowych mówi jeden z delegatów, Roman Menczewicz:

— Nigdy nie marzyłem nawet, że mogę być uczestnikiem festiwalu w Moskwie, że takie wyróżnienie może mnie spotkać ze strony Zarządu Wojewódzkiego, ze strony kolegów z Zarządu Miejskiego i organizacji fabrycznej, dlatego też nigdy bliżej nie wnikałem w idee festiwalowe. Z chwili, kiedy otrzymałem decyzję Zarządu Wojewódzkiego w tej sprawie, zacząłem się interesować hi-

storią tych festiwali. Tak się składa, że mam w fabryce starszych kolegów, obecnie już honorowych członków naszej organizacji, którzy byli uczestnikami poprzednich festiwali, w Berlinie w 1951 roku, w Warszawie w roku 1955, i w Hawanie w 1978 r. Wielokrotnie organizowaliśmy z nimi spotkania, również w rozmowach prywatnych opowiadali o swoich przeżyciach.

— Jak wyglądają trwające obecnie przygotowania do festiwalu?

— W samych sprawach organizacyjnych mieliśmy spotkanie w Warszawie, trzydniowe zgrupowanie, na którym poinformowano nas o programie tego festiwalu, zarówno od strony merytorycznej, jak i organizacyjnej, o tym, jakie przygotowania musimy poczynić, aby znaleźć wspólny język z kolegami z różnych organizacji, komunistycznych, socjalistycznych, z krajów demokracji ludowej, a także z krajów kapitalistycznych. Od 15 lipca trwać będzie dwutygodniowe zgrupowanie w Warszawie, w czasie którego będziemy odbywać wiele spotkań, seminariów, przygotowawczych szkoleń.

— Czy wiadomo już coś na temat przebiegu festiwalu od strony organizacyjnej, jak to wszystko zostało zaplanowane?

— Każdy z naszych delegatów, z grupy politycznej, będzie zakwaterowany w hotelu „Rossija”, będzie posiadał specjalną kartę upoważniającą do bezpłatnego korzystania ze środków komunikacji, bezpłatnego wyżywienia w hotelu i poruszania się po terenie całej Moskwy. Światowa Federacja posiada specjalną grupę ludzi, przedstawicieli różnych państw, którzy będą zajmować się sprawami organizacyjnymi. Na nich będzie spoczywał obowiązek i odpowiedzialność za zabezpieczenie ca-

tej strony byłowej festiwalu. Jest to na pewno zadanie bardzo trudne. Obecnie nie wiadomo jeszcze, ile dokładnie będzie uczestników i ile państw weźmie udział. Na ostatnim festiwalu w Hawanie obecne były reprezentacje 340 państw.

— Proszę powiedzieć jeszcze coś o konkretnych przedsięwzięciach festiwalowych w województwie lubelskim. Czy są to jakieś akcje podobne raczej do innych tego typu w kraju, czy może robicie coś więcej?

— Polska delegacja, jak wiadomo, sama pokrywa wszystkie koszty związane z pobytem w Moskwie, ponadto musi sfinansować udział w festiwalu niektórych delegacji krajów rozwijających się, np. Nikaragui. Stąd najważniejszym właściwie zadaniem jest obecnie wypracowywanie funduszy na ten cel. I podejmujemy w tym zakresie wiele działań. Zarząd Główny ZSMP ogłosił dni 20 i 21 kwietnia dniami czynu festiwalowego (następnie były 15 i 16 czerwca). Organizacje podjęły ten czyn i wypracowane środki przeznaczyły wyłącznie na festiwal. Uczestniczyło w tym także województwo lubelskie. Nie mam danych, ile Zarząd Wojewódzki posiada obecnie tych środków, ale moja zakładowa organizacja w FSC wpłaciła już na konto festiwalowe około 100 tysięcy złotych. Te zakłady, które nie miały możliwości wypracowywania tych funduszy, np. w wolne soboty organizowały zbiórki dowolnych kwot wśród osób prywatnych.

— Czy próbujecie, i w jaki sposób, propagować idee festiwalowe w swoim środowisku życia, pracy i jak to jest przyjmowane?

— Podejrzewam, że część ludzi, która nie jest zorientowana w celach i założeniach festiwalu, przechodzi obok tego tematu dosyć obojętnie, albo myśli, że jest to tylko jakaś okazja wyjazdu, spotkania się z ludźmi różnych kontynentów. Dlatego zależy nam bardzo, by zapoznać ludzi z ideami festiwalowymi, z których główną jest walka o utrwalenie pokoju. Organizujemy spotkania, dyskusje. Nie najlepiej wygląda ta propaganda od strony wizualnej, na ulicach rzeczywistość za mało po prostu widać hasła festiwalowe. Niestety nasza organizacja nie posiada zbyt wielkich środków na propagandę. Natomiast na terenie zakładów pracy czy szkół członkowie organizacji własnymi siłami wykonują materiały reklamowe, bo bardzo nam na tym zależy, by każdy wiedział czym jest ten festiwal, choć wiadomo, że nawet najlepsza reklama i propaganda nie sprawi pewnie, żeby wszyscy podzielali nasze poglądy.

MIKA.

Jak jest z tą kulturą w Świdniku?

Wiesława Lidkiewicz

ŚWIDNIK — niewielka wieś, której powstanie przypada na pierwszą połowę wieku XIV — jeszcze przed II wojną pełnił funkcję miejscowości letniskowej dla pobliskiego Lublina. W roku czterdziestolecia Polski Ludowej, jako jedno z najmłodszych miast regionu, obchodziło trzydziestą rocznicę nadania praw miejskich. W okresie tych trzech dekad zbudowano miasto spore, liczące obecnie 37 tysięcy mieszkańców, przestronne, o szerokich ulicach, ładnych osiedlach, czyste i jak większość chyba nowych miast przemysłowych, wybudowanych po wojnie, bez własnej, prywatnej urody, bez swoistego, niepowtarzalnego oblicza. Ma fabryki, osiedla, sklepy, przedszkola, i nic w zasadzie odrębnego. Miasto, najbanalniej mówiąc, ładne i nijakie jednocześnie. A jednak miasto, w którym można w końcu żyć, ba, w którym wielu ludzi chce żyć, mieszkać, pracować.

Rocznie przybywa tu około tysiąca mieszkańców i to nie z powodu urodzeń, bynajmniej. Stale napływają młodzi ludzie, którzy wiedzą, że znajda w Wytwórni Sorzutu Komunikacyjnego dobrze płatną pracę. Po roku będą mogli zamieszkać w hotelu robotniczym, a w niedalekiej przyszłości zarysują się perspektywa mieszkania. I tak było właściwie od początku przemysłowego i miejskiego życia Świdnika, czyli od chwili rozpoczęcia w 1950 roku budowy WSK. Różni przybywali ludzie, którzy chcieli gdzieś mieszkać, jakoś żyć. Jednocześnie z halami fabrycznymi powstawały wieś błoki, osiedla... I trzy sprawy były tu wciąż najważniejsze: budować, produkować, mieszkać.

Kiedy dzisiaj patrzy się na to miasto, dziwna właściwie myśl przychodzi do głowy: że budowniczości Świdnika musieli znać zapewne zbiór esejów filozoficznych Martina Heideggera „Budować, mieszkać, myśleć”. Nie wiem, czy znali, ale proces powstawania i kształtowania się miasta można niemal

dokładnie przyporządkować tej heideggerowskiej zasadzie. Budować i mieszkać — wokół tych problemów niemal wyłącznie skupiało się tu życie przez lat trzydzieści i słusznie, wszak to nie są sprawy błahe. Nabudowano wreszcie spore i większość właściwie już mieszka (choć 2400 osób stara się o mieszkanie). Obecnie zaczęto zatem myśleć, że w tym sporym robotniczym mieście nie ma przecież nawet domu kultury, takiego zwyczajnie miejskiego, jaki niewątpliwie być powinien. Dziwi to przybysza i wielu mieszkańców Świdnika pewnie także, ale przez lat wiele jakoś o to nie zadbanano. Istnieje tu wprawdzie od dawna Zakładowy Dom Kultury WSK, budynki niewielkie, bez żadnego zaplecza, ale i onże — jak stwierdza naczelnik miasta, Stanisław Kucharuk — jest w bardzo złym stanie. Nie znaczy to, oczywiście, że w Zakładowym Domu Kultury nic się nie dzieje. Kierownictwo placówki stara się organizować to, co jest możliwe, od wielu lat przybywa tu z przedstawieniami Teatr im. Osterwy, rozwija się także ruch amatorski.

W kilkunastu minionych miesiącach, z inicjatywy PRON-u oraz Społecznej Miejskiej Rady Kultury, powstał projekt budowy Miejskiego Domu Kultury. Na razie zdolano zrealizować część „papierową” przedsięwzięcia, uzyskano akceptację projektu, który w najbliższym czasie ma być wprowadzony do planu inwestycyjnego. Najpierw zamierzono budowę tzw. części klubowej, a więc zaplecza tej placówki, gdzie znajda m. in. miejsce pomieszczenia przeznaczone na prace twórcze. Pod tym względem w kulturze Świdnika jest obecnie najbardziej uboga. Budowę owej pierwszej części zaplanowano zrealizować w ciągu pięciu lat, przewidziano na kosztowność około 500 milionów. Podjęto postanowienie, że połowa tej sumy to będą pieniądze społeczne. Oparto na ten cel założenie zakładów pracy. W mieście ustawiono skarbowkę. Nieliczni przedstawiciele załogi WSK pracują czasami na ten cel w wolne soboty. Prowadzono także sprzedaż ciastek na budowę, niestety, niezbyt chętnie nabywanych. Modelarz z WSK opowiadał, że kiedy jako

pierwszy zgłosił się dobrowolnie do zakupu takiej ciastki wywołało to ogólne zdziwienie kolegów i kierownika działu. Gromadzenie społecznych pieniędzy nie idzie łatwo. Dotychczas zebrano około 60 milionów zł. do zaplanowanych 250 milionów trochę brakuje.

Wiele uwagi i czasu sprawie tej budowy poświęcają członkowie Społecznej Miejskiej Rady Kultury. Zjawisko to cenne, oczywiście. Tylko, właściwie trudno zrozumieć, dlaczego dopiero teraz, dlaczego na przestrzeni trzydziestu lat nikt w Świdniku o tym nie myślał. I nie można nawet usprawiedliwić tego stanu rzeczy, że bywały dotychczas inwestycje potrzebniejsze i sprawy bardziej pilne, że nie starczyło środków. Bo jest przecie, w województwie lubelskim również, wiele miasteczek i miejscowości niewielkich, kilkutyśnicowych, na pozór zapyziałych, gdzie istnieją jednak duże i dobrze wyposażone ośrodki kultury. I trzeba to wreszcie powiedzieć, że obraz życia kulturalnego Świdnika nie może raczej napawać optymizmem przybysza, a mieszkańców tego miasta tym bardziej.

Spędziłam w Świdniku kilka zimowych i wiosennych popołudni. Zebrałam relacje niektórych pracowników kultury, kierowników placówek, władz miejskich, kierownictwa Spółdzielni Mieszkaniowej. I wreszcie odbyłam wiele rozmów z ludźmi, mieszkańcami Świdnika, przygodnie spotykanymi na ulicy, na przystanku autobusowym. Większość moich przypadkowych rozmówców, mimo że byli to ludzie mieszkający w tym mieście od kilkunastu lat, nie wie, gdzie znajduje się Osiedlowy Dom Kultury, wielu nie wie, czy w Świdniku w ogóle istnieje jakiś dom kultury. Twierdzą, że w ich mieście chyba nie się w zakresie kultury nie dzieje, a przynajmniej oni o tym nie wiedzą i nie są poza tym jakoś specjalnie zainteresowani.

Ponad trzy tysiące robotników Świd-

nika mieszka obecnie w hotelach robotniczych. To prawie jakby odrębne robotnicze miasteczko. I w tym „miasteczku” całą uciechę i rozrywkę, i kulturę, i wszystko razem, mają stanowić cztery świetlice hotelowe, gdzie poza telewizorem, radiem, jakąś gazetką niewiele można się spodziewać. Sytuacja ta nie jest, oczywiście, specyficzna i wyjątkowa jedynie dla Świdnika. W ciągu wielu lat jakoś zapomniało się czasem w Polsce, że słowo „robotnik” może i powinno stykać się ze słowem „kultura”, i nie da się tego usprawiedliwić (choć z powodzeniem to praktykowano) np. brakiem środków materialnych, czy też nieobecnością zainteresowań kulturalnych wśród robotników. W każdym razie są to usprawiedliwienia dalekie od prawdy. Bo skoro — wróćmy znowu do Świdnika — zadbanano tu zdecydowanie lepiej, niż gdzie indziej, o bazę mieszkaniową, zabezpieczono miejsca w przedszkolach dla wszystkich dzieci rodziców pracujących (oczywiście, że są to sprawy podstawowe i konieczne), to mimo woli chciałoby się w tym miejscu wyprowadzić wniosek najbardziej łatwy, że kierownictwo WSK we właściwym czasie nie zadbało o to, by poza pracą, dosyć wysokimi zarobkami i mieszkaniem zapewnić robotnikom jeszcze coś więcej. Ale byłby to wniosek nazbyt prosty.

W ostatnim czasie jakieś działania na rzecz kultury w środowisku robotniczym Świdnika podejmuje Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury. Nawet w Zarządzie Wojewódzkim ZSMP wyrażają o nim pozytywne opinie. Dwa młodzi robotnicy (nawet znane autorzy) z WSK wypowiedzieli się nieco mniej entuzjastycznie na ten temat. Zresztą, zostawmy na boku opinie dotyczące Stowarzyszenia, na razie trudno po prostu dostrzec w mieście ślady jego działalności.

O sprawach kultury stale myślały tu podobno władze miasta (piszę podobno, bo to na podstawie relacji jedynie, nie obserwowałam wcześniej) życia

Sztuka mierna

O BECNA twórczość plastyczna wygląda czasami tak: przyjeżdża jakiś malarz z Japonii czy Australii do Paryża, zaprasza publiczność i pokazuje im gołe ściany.

— To jest uczciwe, bardzo uczciwe — emokają znawcy. — Pokazuje tylko to, co widzi.

Wtedy mistrz zamyka drzwi i wyrzuca klucz z piątego piętra na bruk. Zabawa trwa dalej. Po godzinie jednak niektórzy zaczynają się niecierpliwie i szturmują drzwi albo wręcz samego malarza.

— To zaczyna być nieuczciwe — mówią nawet emokierzy.

Albo inna historia. Przyjeżdża malarz ze Stanów do Monachium i zamiast monachijskimi sosami zaczyna bazgrać farbą uformowaną w psie czy ludzkie kupki. Jest zabawa? Jest. Filister tego nie zrozumie. Tylko że wszystko to robione właśnie dla filistra.

Literaci nie zamierzają być gorsi. Piszą niezrozumiale, jakby nabazgrane, choć przecież drukowane, wiersze czy powieści i starają się zająć czytelnikom w oczy, przypiąć ich na szulerstwie, na zakłamaniu, na obłudzie. Sami twórcy tylko nie są profanami. Poza tym autorzy z prawdziwej sztuki w formie nienaruszonej zachowali dla siebie jeden element — sławę, rozgłos, nazwisko.

W teatrze też dzieją się różne cuda. Sztukę aktorską usiłuje się zredukować do pantomimy czy wręcz akrobatyki sportowej. Wystarczy, że aktor jest człowiekiem-gumą. Zaczyna niby „mówić” tandetną z reguły dekoracją, scenografia jak to w teatrze robiona na lapu capu — a słowo „milknie” słowo jest brzydkie przesadane wszystkie słowa są na trzy kropki. Redukuje się słowo na spektaklach, ale za to ile i z jaką rozkoszą gada się, gładzi i teoretyzuje po spektaklach. Wtedy nagle słowo staje się znowu ukończonym pupilkim. Wielka reforma teatralna — odgrzewająca wciąż te same pomysły — trwa już wiek. Dzisiejszy konserwatyzm estetyczny to pseudoawangarda.

— Czy to jest sztuka? — pytają przeciętni ludzie, bo snobi nigdy nie mają wątpliwości. Drugorzędni artyści i pierwszoklasni snobi nie miewają wątpliwości.

A jednak uważam, że jest to sztuka, gdyż mamy tu elementy poszukiwania, niepokoju, refleksji. Jest to jednak sztuka drugorzędna, mierna — gdyż nie postuluje tworzenia arcydzieł, a nawet wyklucza ich istnienie. Tymczasem czym jest sztuka bez arcydzieł? Czy tylko rzemiosłem? W każdym rzemiosle jest zawsze trochę sztuki.

Cechą znamionową sztuki miernej jest młodzieńczość, czyli swoisty sceptycyzm połączony z entuzjazmem i niemocą. Dlatego wszystkie utwory wyglądają jak juvenilia, jak pierwociny, a juvenilia — no cóż — są tylko pedantycznym uzupełnieniem dzieł zebranych, nigdy wybranych.

Janusz Olezak

tego miasta). Jednakże to, co proponowano, przynajmniej dotychczas, nie bardzo jakoś docierało do robotników (może nie wyłącznie z winy proponujących), przeznaczono było raczej dla młodzieży i dzieci. Naczelnik miasta twierdzi, że wprowadzić w Zakładowym Domu Kultury skupia się działalność amatorska (dość prętnie działa orkiestra dęta), ale tak właściwie, to czynnie uczestniczą w kulturze głównie młodzież szkolna.

Zapewne z przeświadczeniem, że szkoła powinna rodzić potrzeby, przygotowując do uczestnictwa w kulturze, w czterech szkołach podstawowych (dwie kolejne w budowie) istnieją chóry szkolne, w szkole nr 3 zespół pieśni i tańca ludowego. Ale poza szkoła, czy młodzież ma właściwie jakieś możliwości uczestnictwa w życiu kulturalnym? Istnieje tu wprawdzie młodzieżowy klub ZSMP „Iskra” i klub „Emka”. Obydwa są jednak bardziej niż skromne. Wyposażone w niewielkie sale nadal nie są najbardziej na dyskotekę. Zresztą niewiele ponad to się tu dzieje. Kiedy odwiedzałam te placówki w czasie ferii zimowych, w „Iskrze” sala udekorowana była karnawalem, a trunki młodzieży rozproszone po kątach krechyły się w samo południe przy rockowej muzyce. Oblaśniano mi, że klub zajmuje się właśnie organizowaniem wolnego czasu dla dzieci i młodzieży spędzających zimowe wakacje w mieście. Sa tuż wakacje letnie. Ciekawe, czy klub zapewni młodym ludziom podobne atrakcje?

W klubie „Emka” sala jeszcze mniejsza, uczestników klubowych zajęć także niewielu. Kilko dzieci ćwiczy jakieś figury taneczne. Kierownik klubu opowiada mi, że sporo jest dzieci, które tu przychodzą na naukę tańca, uczestniczą także w grach klubowych. Nie można, oczywiście prowadzić tych zajęć jednocześnie, miejsca tu mało i wyposażenie raczej skromne. Ale Spółdzielnia Mieszkaniowa na razie chyba więcej nie może zaoferować. Trzeba może od razu dodać, że pod patronatem spółdzielni istnieją dwie placówki kulturalne, ów wspomniany klub „Emka” i Osiedlowy Dom Kultury. Pewne sumy na działalność kulturalną spółdzielni dotuje także WSK. Jakże zresztą nie miałyby tego czynić, skoro każdego roku otrzymuje „specjalne” przydziały mieszkań? I dla przykładu tylko podam, że na rok 1985 zaplanowano oddanie 140 nowych mieszkań dla Świdnika, a oprócz tego 160 mieszkań dla Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego. Znaczne źródło finansowe stanowi sala klubu „Emka”, wynajmowana często na uroczystości prywatne, np. wesela, na spotkania i konferencje instytucjom oraz przynosząca dochód z organizowanych tu płatnych dyskotek. Dochody z tych imprez przeznaczają się głównie na dofinansowanie

wyposażenia klubu. Sposoby zarabiania są być może niezłe, tylko czy to wszystko ma coś wspólnego z pojęciem kultura?

Jakieś ślady czegoś, co nazywa się kulturą można by odnaleźć w działalności Osiedlowego Domu Kultury, chociaż nie podejmuje on przecież przedsięwzięć na miarę potrzeb miasta. Największym zainteresowaniem cieszą się tu modelarnie lotnicza i okrętowa, kółko fotograficzne skupiające obok młodzieży również nielicznych dorosłych. Poza tym ODK koncentruje swą działalność głównie na dzieciach. Z myślą o nich działają tu koła rytmiki, recytatorskie, teatrzyki (alkowy i żywego planu). Niegdyś — opowiada kierowniczka ODK — zanim jeszcze zaczęto zamykać toalety, częstymi gośćmi Domu Kultury bywali również dorośli, spędzający czas w znajdującym się w sąsiedztwie barze „Michał”, przyzwyczajonym do piwa. Zaoszczędzenie pięciu złotych było istotną motywacją do odwiedzenia Domu Kultury.

Zresztą, ludzie spędzający czas w barze z piwem nie są przecież zjawiskiem ani dziwnym, ani nowym. Raczej zwyczajnym, codziennym, powszechnym, a w Świdniku nawet uzasadnionym. Bo właściwie dokąd tu pójść i co mają z sobą zrobić w tym pustawym mieście, zwłaszcza ludzie młodzi? Trudno odpowiedzieć na takie pytania. Może odwiedzać biblioteki? Miejską, rozmieszczoną w trzech punktach miasta, i zakładową, także ogólnie dostępną.

Ze sprawozdań wynika — tak przynajmniej informuje kierownik Wydziału Kultury — że tylko bibliotekę zakładową odwiedza dziennie około 100 osób. Wypadaloby to uznać za zjawisko wielce optymistyczne. Ale ja nie jestem przekonana, że sprawozdania i statystyki, które placówki kulturalne mają obowiązek co pewien czas przygotowywać, dają jakiś rzeczywisty obraz kultury. Cóż, jednak wszelkie ważne sądy i opinie na temat kultury wypowiada się najczęściej na podstawie sprawozdań, zestawień, wykazów, czyli na podstawie nazw, cyfr, liczby zainwestowanych złotych. Jest to, oczywiście, bardzo bezpieczny i nie drażliwy sposób obchodzenia wokół tematu dosyć kłopotliwego, jakim jest kultura, zwłaszcza w mniejszych miejscowościach. A w Świdniku jest to, ze względu na specyfikę miasta, problem niewątpliwie trudny.

DNI KULTURY CZECHOSŁOWACKIEJ

Goście z Nitry

Miroslaw Derecki

W CZERWCU gościł w Lublinie słowacki Teatr im. Andreja Bagara z położonej niedaleko od Bratysławy pięknej, zabytkowej Nitry, najstarszego miasta Słowacji, upamiętnionego m.in. przybyciem tu przed z górą tysiącem lat Cyryla i Metodego. Właśnie tutaj, w Nitrze, powstawały przed wiekami pierwsze zręby słowackiej kultury, dwaj słynni mnisi z Bizancjum kładli podwaliny pod piśmiennictwo słowackie.

Dzisiejsza Nitra liczy około 90 tys. mieszkańców, ma dwie wyższe uczelnie: rolniczą i pedagogiczną z językami wykładowymi słowackim i węgierskim. Życiu kulturalnemu i artystycznemu główny ton nadaje działalność

bratysławskiej Wyższej Szkoły Artystycznej, Martina Kákosa oraz dramat pióra współczesnego słowackiego pisarza, dramaturga i scenarzysty filmowego Jána Solovica — „Meridian” który reżyserował Karol Spisák. Pierwsza pozycja to poetycka surrealistyczna, jakby w „Chagalowskim nastroju”, wpisana w małopolski pejzaż z początków XX wieku opowieść o formowaniu się osobowości młodego człowieka Szukającego szczęścia, miłości i sprawiedliwości w otaczającym go świecie. Sztuka pełna bardzo specyficznego humoru, dobrotliwej ironii, wyrozumiałości wobec ludzkich przywar i śmieszności, zaskakująca nie-



Ernest Smigura — Kaminska i Jana Strniskova — Linka Kaminska w „Precz, precz kostuchol”

TAB-u, czyli Teatru im. Andreja Bagara istniejącego od roku 1950, a w ostatnich latach zaliczanego do najbardziej interesujących teatrów Słowacji. To właśnie w Nitrze odbywa się każdego roku festiwal teatrów słowackich — roboczy przegląd najciekawszych pozycji przygotowanych w mijającym sezonie. Odbywają się dyskusje i seminaria na temat sztuki teatru oraz światowej dramaturgii. W tych znanych już w całej republice Majo-wych Dniach Teatru w Nitrze bierze udział wielu gości zagranicznych, wśród których spotkać można zawsze przedstawicieli Teatru im. Kisfaludiego w Győre na Węgrzech, Teatru im. Jordana Jovkova z Tolbuchina w Bułgarii oraz Landes Teater z enerdownskiego Halle, z którymi TAB utrzymuje bliskie kontakty artystyczne.

Teatr im. Andreja Bagara zaprezentował w Lublinie dwa przedstawienia: sztukę litewskiego dramaturga Sauliusa Saltenisa pt. „Precz, precz kostuchol” w reżyserii młodego absolwenta

spodziewanymi pointami i sytuacjami scenicznymi „Meridian” z kolei jest sztuką z gatunku „publicystycznych”, przedstawia historię starzejącego się kolejarza, zasłużonego uczestnika Słowackiego Powstania Narodowego, a następnie wieloletniego działacza społecznego, człowieka niewzruszenie wiernego wyznawanym zasadom, który staje przed problemem pójścia na kolejne „małe ustępstwa” wobec owych pryncypiów dla dobra własnej rodziny czy najbliższych znajomych.

Obydwa przedstawienia — doskonałe aktorsko(!), interesujące (szczególnie „Precz, precz kostuchol”) pod względem reżyserskim i inscenizacyjnym — dają pojęcie o repertuarowych i artystycznych założeniach Teatru im. An-

Dokończenie na str. 10

Dokończenie ze str. 9

dreja Bagara, kładącego duży nacisk na współczesną twórczość rodzimych autorów, ale też sięgającego bardzo często po współczesną światową dramaturgię oraz światową klasykę. Prezentował na swej scenie TAB sztuki Moliere, Szekspira, Lorki, Szwarc, O'Neill, Ostrowskiego, Ibsena, Bulharkowa, a spośród autorów polskich: Słowackiego, Fredrę, Zapolską, Bryllę, Lutowskiego, Grabowskiego. Na scenie Teatru Narodów w Sofii w 1982 r. Teatr im. Bagara reprezentował scenę czechosłowacką; artyści z Nitry pokazali wówczas inscenizację „Domu Bernardy Alba” Federico Garcii Lorki.

Lubelskie spotkanie z Teatrem im. Andreja Bagara było zarazem pierwszym zetknięciem z teatrem słowackim w ogóle. Teatrem, o którym przeciętny polski widz wie tak niewiele.

Inna sprawa, że teatr słowacki — w ścisłym tego słowa znaczeniu — jest zjawiskiem artystycznym raczej młodym; jego profesjonalne początki datują się na lata dwudzieste-trzydzieste bieżącego stulecia. Pierwsze zapiski na temat przedstawień teatralnych w Słowacji pochodzą wprawdzie z roku 1452 ale dotyczą one widowisk religijnych lub występów „zespołów” składających się ze scholarzy uczęszczających do przyklasztornych kolegiów w Bratysławie, podczas których używano tylko łaciny. Powstające z biegiem czasu zespoły amatorskie, rozprzestrzeniające się na cały kraj, używały już nie łaciny, ale języka niemieckiego.

Język słowacki zawitał do teatru amatorskiego dopiero w drugiej połowie XIX wieku, choć — jak opowiadał mi dramaturg Teatru im. Bagara, dr Jan Laca — elementy słowackiego języka można było już spotkać w teatrze „o-

chołniczym” w wieku XVIII. W Słowacji aż do roku 1921 nie było zawodowego teatru narodowego, grywały tutaj trupy niemieckie i węgierskie. Oczywiście istniały gmachy teatralne, nierazdo bardzo piękne; w samej Nitrze 19 listopada 1883 r. dokonano uroczystego otwarcia gmachu nowego teatru, był on jednak siedzibą profesjonalnego zespołu węgierskiego.

O początku teatru narodowego można mówić w Słowacji z chwilą, gdy w 1921 r. w Bratysławie powstał — jako impreza prywatna — zawodowy Teatr Narodowy. Zespół składał się głównie z aktorów-Czechów, grano więc w języku czeskim. Dopiero w latach trzydziestych w łonie bratysławskiego zespołu nastąpił rozdział na grupę czeską i słowacką, grającą w swym ojczystym języku. Na czele owej grupy słowackiej stał doskonały aktor, młody wówczas jeszcze, bo urodzony w 1900 r., Andrej Bagar. To on właśnie — organizator, działacz teatralny, wreszcie założyciel i pierwszy rektor teatralnej Wyższej Szkoły Artystycznej otwartej w Bratysławie po II wojnie światowej w 1949 r. — jest uważany za ojca słowackiego teatru narodowego.

W samej Nitrze profesjonalny teatr słowacki powstał dopiero w 1940 r. Przyjął on wówczas nazwę Słowackiego Teatru Ludowego, a występował w budynku dawnego teatru węgierskiego. Aż do chwili, gdy w 1945 r., podczas próby operetki, na gmach spadły bomby, niszcząc go doszczętnie. Zespół teatralny poszedł wówczas w rozpyskę i dopiero w 1949 r., m.in. dzięki ogromnemu wkładowi pracy i entuzjazmowi Andreja Bagara, reaktywowano w Nitrze, w zastępczej sali, działalność teatralną. Pierwsza premiera w odrodzonym teatrze odbyła się 14 stycznia 1950 r. Nawiasem mówiąc, był to wówczas

ostatni z teatrów powstałych po wojnie na Słowacji, przeto nie dziwnego że „w początkach swego istnienia teatr na płaszczyźnie artystycznej raczej węgował [...] brakowało dobrych reżyserów i aktorów”. Sytuacja zmieniła się w 1955 r., gdy do Nitry zaczęli napływać pierwsi absolwenci Wyższej Szkoły Artystycznej: dramaturg (odpowiednik naszego kierownika literackiego), reżyserzy, scenografowie i aktorzy, którzy, a choć nie mieli jeszcze wielkiego doświadczenia, wynieśli z bratysławskiej uczelni wiedzę o teatrze i profesjonalne umiejętności. Ukształtował się młody, wyrównany, ambitny zespół. I to był początek drogi do osiągnięcia obecnej pozycji TAB-u z Nitry.

Trzeba pamiętać przy tym, że TAB działa w silnej konkurencji. W niezbyt wielkiej przecież, pod względem obszaru, Słowacji istnieje dziesięć teatrów (dokładnie: dziesięć dyrekcji teatralnych) tzw. „żywego planu”, dysponujących 22 zespołami teatralnymi. Do tego dochodzą jeszcze dwie dyrekcje: teatru węgierskiego i teatru ukraińskiego (działających w Słowacji). Głównymi centrami teatralnymi są: Bratysława, Bańska Bystrzyca i Koszyce. W Bratysławie Teatr Narodowy posiada sceny: operową, baletową, dramatyczną, zaś teatr Nowa Scena ma zespoły: dramatyczne, młodzieżowy oraz poetycki. Wreszcie warto wspomnieć, że w Słowacji istnieje pięć teatrów lalkowych.

Jak przy takiej liczbie teatrów przedstawia się sprawa frekwencji? (Rzecz szczególnie nabolala, jeżeli chodzi o nasz polski teatr.) Otóż wszyscy moi słowaccy rozmówcy — dr Jan Laca, reżyserzy Martin Kákos i Karol Spisák — twierdzili w sposób zdecydowany (odpukując jednak przy tym, „na wszelki wypadek”, w niemalowane drewno), że problem taki w ich kraju nie istnieje. W Słowacji jest ogromne zainteresowanie teatrem, publiczność

przychodzi z własnej woli, bez „organizowania” biletów przez zakłady pracy, mimo... Mimo że np. w Nitrze można oglądać telewizję aż na sześciu kanałach. Jeżeli zaś chodzi o swój teatr i jego sprawy kadrowe, to podkreślają szczególnie położenie Nitry: piękne, spokojne miasto, usytuowane na malowniczej równinie u stóp południowych stoków Karpat, znajduje się zarazem tylko 80 kilometrów od Bratysławy — republikańskiego centrum filmowego i telewizyjnego. Dla aktorów nie ma więc problemów z dojazdem do tamtejszych studiów, łatwy jest stały kontakt z życiem artystycznym i kulturalnym stolicy Słowacji, a to się dla człowieka mieszkającego „na prowincji” liczy podwójnie.

„Zresztą — śmieją się — kto wie, czy ci z Bratysławy za kilka lat nie zaczęli ciągnąć do nas, do Nitry?” Za dwa-trzy lata zostanie tutaj zakończona budowa nowego budynku teatralnego. Będzie to — jak opowiada dr Laca — „najnowocześniejszy budynek teatralny w krajach socjalistycznych”. Sala, w której obecnie gra 23-osobowy zespół, ma 300 miejsc; dają tutaj 7 premier w sezonie, w repertuarze zawsze mają 10 sztuk. W nowym budynku — główna sala teatralna pomieści 620 widzów, druga sala, „eksperymentalna”, nie posiadająca wyodrębnionej sceny (ale w której każdy metr kwadratowy podłogi będzie można przesunąć w pionie i w poziomie) obliczona jest na 150 miejsc.

Jeżeli zaś chodzi o plany artystyczne z nowym budynkiem teatralnym związane...

No cóż, może dowiedzielibyśmy się o nich czegoś bliżej, gdyby na tym pierwsze spotkanie: Lublin — Nitra się nie skończyło. Może warto pomyśleć o kontaktach podobnych do tych, jakie Teatr im. Osterwy nawiązał swego czasu z teatrem w Jassach, z teatrem w Brześciu...?

Mirosław Derecki

Ekran i widz

„Być albo nie być” i co jeszcze?

PO polskich ekranach krąży zrealizowana przed dwoma laty komedia amerykańskiego reżysera Alana Johnsona — „Być albo nie być”, stanowiąca swoiste remake (bo wprowadzono do scenariusza nowe wątki, a nawet dodatkową postać) słynnego filmu Ernsta Lubitscha pod tym samym tytułem, nakręconego w Stanach Zjednoczonych w 1942 roku. Tak więc, jak i poprzednim razem, jest to pełna humoru opowieść o grupie polskich aktorów, usiłujących w swym warszawskim teatrze jakoś przeżyć noc okupacyjną: biedę, łapanki, prześladowania na tle rasowym, ciągłą inwigilację ze strony gestapo, a równocześnie wciągniętych, mimo woli, w szczególnie niebezpieczną działalność konspiracyjną.

Niestety, podobnie jak film Lubitscha, późniejszy o czterdzieści lat „Być albo nie być” cechuje całkowita nieznanostwo i bez troska w traktowaniu realiów. Oczywiście, dzięki vis comica grającego tutaj jedną z głównych ról Mela Brooksa oraz lawinie gagów (notabene, często niezbyt wybrednych), na „Być albo nie być” ludzie się śmieją. Lecz — jak słusznie zauważa Zygmunt Marciniak w jednym z czerwonych numerów „Ekranu” — „Śmiechu jest wiele podczas projekcji, ale jakby nie zawsze w tych momentach, na które stawiali zapewne scenarzyści, reżyser i aktorzy. [...] Polskiego widza — zwłaszcza starszego — niezmiernie śmieszyć muszą filmowe „realia” — obraz Warszawy i okupacji. Aby to zaakceptować, nie wystarczy nawet bardzo silne „przymrużenie oczu” [...]. polskie przysłowie powiada, że „dobrymi chęciami piekło jest wybrukowane” [...]. Choć więc te dobre chęci są niewątpliwie — polski widz nie może jakoś pozbyć się uczucia pewnego zażenowania. Zbyt naiwny jest ten obraz okupowanego miasta, doznawanych prześladowań i konspiracji, a przeciwnicy — zbyt głupi, zbyt łatwi do pokonania, przechytzenia. [...] Podobnie — w tonie, klimacie, tym bardziej w realiach — komedii nie zrealizowałby żaden polski reżyser. Mogła powstać tylko w kraju, dla którego okupacja była wyłącznie opowieścią z drugiej ręki”.

Te słuszne wywody kończy następnie autor cytowanej powyżej recenzji pt. „Lekarstwo na megalomanię” (! — M.D.) zupełnie karkołomną konkluzją: „Czy decyzja o zakupie filmu i skierowaniu go na polskie ekrany była błędna? Nie! Była słuszna. Także dlatego, iż film Brooks może być rodzajem lekarstwa i na naszą narodową megalomanię; na przekonanie części rodaków, że „świat tak wiele o nas wie”, że „byliśmy i jesteśmy pepkiem świata”. Nie byliśmy i nie jesteśmy, „stęty” czy niestety”.

Niestety! Choć jestem jak najdalej od narodowej megalomanii, ani nie uważałem się nigdy na-



Annie Bancroft i Mel Brooks.

wet przez chwilę za obywatela „pepka świata”, nie potrafię zgodzić się z tego rodzaju stwierdzeniem. Film wyprodukowany przez Mela Brooksa i powstały z jego inspiracji oraz przy jego — w przejrzysty sposób widocznym — współuczestnictwie twórczym (choć w czolówce widnieje nazwisko Alana Johnsona jako jedyne reżysera) odbieram jako twórca żałośnie prymitywny, płaski i chwilami po prostu rozpaczliwie głupi. To prawda, że „Być albo nie być” odnosi się z szacunkiem do Polaków. Ze sławi ich poczucie godności, honoru, patriotyzm, a także podkreśla (wbrew modnym ostatnio na Zachodzie „oskarżycielskim” trendom, pobrzmiwającym w literaturze, filmie i telewizji) poświęcenie Polaków w ratowaniu Żydów przed hitlerowską zagładą. (Dodajmy, że Mel Brooks sam jest Amerykaninem żydowskiego pochodzenia, jego prawdziwe nazwisko brzmi: Melvin Kaminsky). Tak. Wszystko to prawda. Ale w sumie jego „zwariowana komedia” na okupacyjne tematy polskie, nawet przy wszystkich wspomnianych pozytywach, grzeszy już aż nadto wielką „ahistorycznością”. Zbyt wielką ignorancją oraz lekceważeniem tego, czego świat w ciągu ostatnich lat czterdziestu zdołał jednak przecież się dowiedzieć na temat wojny, Polski, okupacji, ruchu oporu — aby dopatrywać się jeszcze w „Być albo nie być” jakiegos tam „remedium” na nasze różne śmieszne narodowe kompleksy.

I dlatego, z dwojga złego, wolę już chyba „stary” film Ernsta Lubitscha, któremu przecież po premierze postawiono w recenzjach bardzo wiele zarzutów. A wśród nich także ten: o całkowitej nieznanostwo faktów historycznych i nakręceniu ni to komedii, ni to melodramatu, zupełnie oderwanego od życia i aktualnej polskiej rzeczywistości okupacyjnej. Tylko trzeba pamiętać, że stary wyga filmowy mistrz komedii i historycznych melodramatów w wypracowanym w latach trzydziestych hollywoodzkim stylu, podejmując zaproponowany mu temat „na czasie”, przypominał dewotnie wojskowego pododdziału zmuszonego warunkami wojennymi do „rozpoznania z marszu” znajdującego się przed nim nieprzyjaciela...

Jeszcze niedawno wojna toczyła się daleko, za oceanem, była niemal czymś abstrakcyjnym dla przeciętnego Amerykanina i także dla amerykańskiego reżysera filmowego. Tymczasem 7 grudnia 1941 roku Japończycy napadli na Pearl Harbor; Ameryka znalazła się w stanie wojny, zrodziło się zapotrzebowanie na szybkie podjęcie wojennej tematyki filmowej. Nawiasem mówiąc, wojna z Japończykami na wyspach Oceanu Spokojnego była dla Amerykanów bliższa, bardziej „realna” niż wojna w Europie; dlatego tematyka „wojenna” zaowocowała tak realistycznie i na tak wysokim artystycznie poziomie w „Mściwym jastrzębiu” Howarda Hawksa z 1943 roku, i wypadła tak „abstrakcyjnie” czy wręcz „surrealistycznie” w „Być albo nie być” Ernsta Lubitscha z roku 1942. Nie potępiajmy zbyt łatwo Lubitscha za nakręconą przez niego „przymiarkę” do tematyki wojennej i okupacyjnej, a na dodatek: polskiej.

Gdy w 1962 roku sprowadziliśmy wreszcie do Polski ten film, opatrzony on został przez polskiego dystrybutora specjalną wstępną „dokrętką”. Na ekranie — znany aktor Kazimierz Rudzki prezentował film i wygłaszał komentarz, wyjaśniający uwarunkowania artystyczne, niedostatki oraz historyczne „przekłamania” obrazu Lubitscha. (Nawiasem mówiąc, pisząc te słowa pierwszy raz oglądał „Być albo nie być” w 1944 lub 1945 roku, kiedy przemknął on przez polskie ekrany niejako „nieoficjalnie”, dostarczony samolotem do Polski z szeregami innych amerykańskich filmów wojennych. Wtedy zresztą nikt w ogóle nie miał zastrzeżeń do „wiarygodności” tego filmu. Dla publiczności wystarczyło, że na ekranie Niemcy są ośmieszani i że Niemców biją.)

Obecnej ekranizacji „Być albo nie być” nikt, niestety, nie opatruje komentarzem. Nic więc dziwnego, że do kompletnego mętlaku na ekranie dołącza się jeszcze mętlak w umysłach widzów: po co w ogóle ten film sprowadzaliśmy? Co to za quid pro quo z tym „To be or not to be”?

M.D.

TURBO



TURBO

Fot. Andrzej Szozda

GRUPA Turbo to młodość, żywioł, ekspresja. Tak oceniają ją nastolatki, chętnie poddające się heavy metalowym torturom. W ich przekopaniu występy Turbo tętnią życiem i rajującą muzyką. Po dziewięćdziesięciu minutach gitarowych wlotów dopadam zmęczonych, spoconych, ale szczęśliwych muzyków w garderobie.

— Słysz, że przez ostatni rok poczyniliście wyrażne postępy, które będą miały zapewne wpływ na dalsze losy grupy.

— Udało nam się wreszcie scementować labilny dotychczas skład muzyków i przygotować nowy, naszym zdaniem, przebojowy program. Jego charakter oscyluje wyraźnie wokół heavy metal rocka.

— Dlaczego wybraliście akurat heavy metal? — Ostra, dynamiczna w wyrazie muzyka, podobna do pracy wysokoprężnego silnika turbo, uznawaliśmy od początku istnienia grupy. Przez pięć lat eksperymentowaliśmy i zmieniał się sposób naszego rozumienia i artykułowania rocka. Ostatnio doszliśmy wszyscy do wniosku, że nasze fascynacje skupiają się na heavy metalu — muzyce o wyraźnych męskich znamionach. Wcale nie dlatego, że imponują nam szaleństwa Teda Nugenta, Motley Crue czy Van Halen. Wybraliśmy taki, a nie inny rodzaj muzyki, ponieważ fascynuje on rytmem, wyzwala w słuchaczach skrywane emocje i jest przy tym szalenie widowiskowy.

— Waszym popisom też trudno odmówić widowiskowości. Czarne, skórzane kostiumy, nabijane ćwiekami pasy i rękawiczki, rekordowo długie fryzury i przedziwne miny wchodzą w skład koncertowego rytuału.

— Nie jest to nasz wymysł. Heavy metal posiada własną, ustaloną od lat oprawę i trudno się temu sprzeciwić, jeśli ktoś poważnie myśli o granju takiej właśnie muzyki. Większość zachodnich kapel nosi obcisłe skórzane kombinezony i stara się dostarczyć słuchaczom maksimum atrakcji, nie tylko dźwiękowych. Nie stać nas jeszcze na za budowywanie sceny urządzeniami wywołującymi np efekty budzące grozę, czy wybuchy pirotechniczne, ale i tak radzimy sobie nieźle. Dziewczęta są oczarowane...

— ... i ośluszone przy okazji?

— Poteżna dawka decybeli i granie na tzw. „fool” wzmocniaczy jest cechą prymarną tej muzyki. Dopiero przy odpowiednim nateżeniu dźwięku ekspresyjne solówki gitar brzmią niczym tnące metal nożyce, stają się bardziej czytelne. Heavy metal nie może zardzewieć. Robimy, co możemy, aby nie dopuścić do korozji.

— Zauważyłem, że gracie nie tylko głośne utwory.

— Uznaliśmy, że musi być w trakcie gorącego koncertu moment wytchnienia dla nas i publiczności. Gramy wtedy ciepłe i liryczne ballady. Przyjmowane są z ogromnym aplauzem.

— Nie klóci się to aby z ekspresyjną formułą heavy metal, o której mówiliście przed chwilą?

— Bynajmniej. Poczynania zachodniemieckiej grupy Scorpions, a także Foreigner i paru innych zespołów, przeczą takim twierdzeniom. Oba nurty dają się godzić. Turbo chce kontynuować doświadczenia wielkich poprzedników, oczywiście na swój sposób, bez ściągania cudzych pomysłów melodycznych czy aranżacyjnych. Uważamy, że stać nas na równie dobre piosenki.

— Nagraliście podobno drugi longplay?

— Sądzimy, że zadowoli on gorących entuzjastów ciężkiego rocka. Materiał płyty zarejestrowanej w krakowskim studio Teatru STU jest jednorodny stylistycznie. Nosi tytuł „Ciszy smak”, ale wcale cichy nie jest. Zreszta już wkrótce będzie się można o tym przekonać. Album ukaże się nakładem Klubu Płytkowego „Razem”, zaś wersję kasetową wyda firma Merimpex. Szczegółnej uwadze fanów polecamy „Już nie z tobą” „Cały czas uczę nas”, tytułowy „Ciszy smak” i „Wariacki taniec”.

— Czy nowe wydawnictwo jest szczytem waszych możliwości technicznych i twórczych?

— Nie sądzimy, aby tak było. Jesteśmy grupą rozwojową i nie powiedzieliśmy jeszcze ostatniego słowa. Do tej pory pozostawaliśmy nieco w cieniu innych kapel, ale czujemy, że nadszedł wreszcie dla nas czas dobrej passy. Ostatnie propozycje radiowe Turbo mają tendencję zwykłą na listach przebojów. Chcemy pójść za ciosem i przygotować jeszcze lepsze nagrania. Na brak pomysłów nie skarżymy się. Dobra atmosfera w zespole jest czynnikiem dopingującym do lepszych sesji. Nie wszystko możemy teraz ujawnić. Powiemy tylko, że mamy kilka wystrzałowych niespodzianek.

— Wiele podróżujecie i macie okazję porównania reakcji publiczności. Czy to prawda, że w

Lublinie przyjmują was najbardziej entuzjastycznie?

— Mamy dość liczny krąg entuzjastów w różnych częściach kraju. W Lublinie spotkaliśmy jednak grupę młodych ludzi, którym nasza muzyka przypadła szczególnie do gustu. Z sympatii do zespołu właśnie w tym mieście powstał Oficjalny Fan Club Turbo. Działa on odrębnie przy Młodzieżowym Domu Kultury. Cieszą nas dowody sympatii zwolenników grupy. To naprawdę miło widzieć, z jakimi emocjami i wypiekami na twarzach przyjmowane są nasze propozycje. Z myślą o lubelskich fanach przygotowujemy nowy serwis reklamowy (plakaty, fotosy, znaczki, naklejki). Do nich też w pierwszej kolejności trafia nasza nowa płyta.

— Zechciejcie się jeszcze przedstawić.

— Gitary, stanowiące trzon brzmienia i siłę napędową kapeli obsługują dwaj fachowcy: Wojtek Hoffmann (nasz lider) i Andrzej Łysów. Oba chlubią się spora ilością kompozycji napisanych dla Turbo. Gitara basowa pozostaje niezmiennie w rękach najmłodszego członka zespołu, niespełna dwudziestolatka Bogusza Rutkiewicza. Za bębniami zasiada od niedawna krakowski muzyk Alan Sors, znany z wyjątkowej biegłości w operowaniu pałkami. Nad całością panuje nasz solista, ulubieniec dziewcząt — Grzesiek Kupczyk. Niektórzy twierdzą, że ma dynamit w głosie.

— Kiedy zawitacie ponownie do Lublina?

— Trudno przewidzieć. Ze względu na atmosferę chcieliśmy tu koncertować dosyć często. Jeśli otrzymamy zaproszenie, z pewnością nie odmówimy.

— Trzymam was za słowo.

Rozmawiał: Istvan Grabowski

Pocztą literacką

Władysław D. Cyanków, „Dobrymi chęćmi niekiedy brukowane”, a w poezji nawet najlepsze chęci i intencje nie pomogą. Słachetne jest to, co pisze Pan w wierszu pt. „Niedwójka Polska nie zginie”, ale nie ma w nim poezji nawet za grosz.

Krzysztof K. Kraśnik, Największa konsekwencja w zadawaniu przez Pana ulubionych pytań zachował Pan w wierszu zaczyna-

cym się od: „Zmarnowałem dziecięcy rowerek”, ujał mnie zwłaszcza ostatni dwuwiersz:

Dziecko mnie zapytało:
Krzysiu, do szczęścia to tedy?
Jeszcze w innych utworach zdarzają się wersy, które coś zapowiadały. Na tej podstawie może sądzić, że dziewczyna nie w pełni ma rację. Może w przyszłości zmieni swa surowa ocenę? Ja sam na razie mam za mało argumentów, aby się jej przekonywająco przeciwstawić.

Bogdan K. Lubartów, W tym Pańskim gaworzeniu bywa niekiedy trafne spostrzeżenie, ale nie więcej. Zreszta za mało mogłem przeczytać, aby ostatecznie osądzić, czy to pisanie ma perspektywę.

Ryszard P. Warszawa, Cenna jest w tych wierszach bezpośredniość, podejmowanie tematów codziennych, ale to jeszcze za mało, by utwory drukować.

TJ

OGŁOSZENIA DROBNE

Lublin! Działkę 35 arów zamienię na mniejszą. Tel. 270-50. 12302/G

Sprzedam dom piętrowy, komfortowo wykończony wraz z działką i dwoma budynkami gospodarczymi. Tadeusz Sobolewski, Kock, ul. Kościuszki 5-a, woj. lubelskie, tel. 32.

17436/G

Silnik 127 — sprzedam. Lubartów, tel. 28-17.

17563/G

W 150 rocznicę urodzin Henryka Wieniawskiego — w następnym numerze „Kamień” artykuł Ireny Filus „Legenda”.

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Wańsiewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopelowski (z-ca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bocian, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), trenerzy J. Kamóski (kierownik działu publicystycznego), Lidia Wójcik (redaktor techniczny) — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamierzonych i zastrzega sobie prawo skrótów. W sprawach literackich przyjmujemy interesantów kierownik działu w odtaki w cod. 14-18.

Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 8, tel. 295-38.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie ul. Unicka 4. Adres redakcji: 20-025 Lublin ul. Skłodowskiej 2/1.

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny, z-ca redaktora naczelnego: 255-93 sekretarz redakcji: 218-93 dział publicystyki i literacki: 273-35.

Korespondencje zwłote prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zam. 1211/85, 25.06.1983 r. L-4.



1

ZA dorwała się do lektury. Leon chciał jej wyrwać z ręki „Kurier”, bo na pierwszej stronie Bronisław Waligóra reklamował mający się właśnie odbyć mecz piłkarski między Motorem a Widzewem, ale Iza mocno trzymała gazetę. Przypominała kotkę, która walczy o swe małe.

— Posłuchaj, posłuchaj, kochanie!

Leon z trudem pohamował się od ziewnięcia.

— Znowu o Homo? Został pierwszym tenorem operze włoskiej? A może kolejna paskuda: dimozaurzy pojawiły się w Ogrodzie Saskim? Już lepiej nalej żupę do talerza.

— A to sam sobie nalej. Jest w lodówce.

— Na pewno stary barszczyk. Ten, co wczoraj przedwczoraj. Ja oszaleję przy takiej kuchni!

— Oszalejesz? To się przeniesz ze stołowaniem do „Unii”. Proszę bardzo, ja nie mam nie przeciwko temu. Nie kłóć się zresztą ze mną, tylko posłuchaj: Isaura była córką ślicznej Mulatki, pracującej przez długie lata jako domowa niewolnica, faworytka i wierna służąca żony komandora. Ten lubieżny i pozbawiony skrupułów człowiek patrzył na niewolnice jak na harem rzucał zachłanne i gorejące żądza spojrzenia na miłą pokójkównę... Słyszysz? Gorejące żądza spojrzenia. Ty nigdy tak na mnie nie patrzyłaś. Boże, jaki jesteś nieobyty, prostak, można powiedzieć, zwykły prostak!

— Mamo, a co to jest harem? A czy jak ja patrzę, to też goreję żądza? — spytała sześciolatka Malgosia, wspinając się ojcemu na kolana.

— Nie przeszkadzaj! Harem to harem. Twój tatuś chciałby mieć harem. Ale ja mu dam harem! Do moich trupie. Myślisz, że już zapomniałam?

— A o czym ty miałaś zapomnieć? — Leon pogłaskał córkę po głowie.

— O czym? Ty dobrze wiesz, o czym! Myślisz, że już zapomniałam o tej instruktorce, do której się przyczepiłaś jak rzep do psiego ogona? Amant się znalazł! Osiemnastolatek, cholera! Własnego ogrodu nie potrafisz uprawiać. Popatrz na mnie!

Ja jeszcze nie mam trzydziestki, a jak wyglądam? Wiem, wiem! Chcesz mnie wykończyć. Myślisz, że ci się uda? Ja się z mieszkania nie ruszę. Jak chcesz, zabieraj swoje manele i leć za tą lafiryndą. Wcale ciebie nie trzymam. Ani mi się śni...

— Będzie dzisiaj ten obiad? Może ustalimy jakąś kolejność?

— Ustalimy, ale pod warunkiem, że nie będziesz mi przeszkadzać. Słuchaj dalej: „Przez długi czas opierała się jego brutalnym żądaniom, jednak w końcu musiała ustąpić wobec groźb i gwałtów”.

— Czyli ją przeleciał!

— Tato, ja znam taką piosenkę: „Hej przeleciał ptaszek...”

— O innym ptaszku myślę!

— Przestań mi dziecko demoralizować! Rozpuśtnik! Niczego nie potrafi uszanować. Taka piękna księżka, a on sobie kpiny żrądzka.

Iza czytała dalej, słowo po słowie, i wreszcie dojrzała do końca odcinka: „Malwina, mimo swojej arystokratycznej dumy, miała duszę skromną i dobrą, a serce czyste. Też nie mogła nie oddać niewolnicy Isaury żywym zainteresowaniem i głębokim uczuciem. Wszak była ona tak dobra i miła, tak cicha, skromna i posłuszną i o niezaprzeczalnych przymiotach ducha, że pomimo wielkiej urody zdobywała z miejsca przychylność wszystkich... Cedeem...”

— Co to znaczy?

— Mówiłam, że jesteś prostak! Ciąg dalszy nastąpi. Muszę zdobyć jakąś czekoladę dla kioskarki, bo nie będzie mi odkładać „Kuriera”, a kiedy wyjdę z pracy, może go już nie być.

— Mamo, ja też chcę czekoladę! Prawdziwą, a nie taką z plasteliny, którą ci dali ostatnio na kartki.

— Od czekolady się tyje — zauważył Leon i zabrzmiało to bardzo filozoficznie.

— Od wódki się tyje!

— Dostyc z tymi moralami. Bierz przykład z Isaurą, bądź dobra, miła, cicha, skromna i posłuszną, no i miej te niezaprzeczone przymioty ducha, bo z wielką urodą to już będą niejakie trudności.

— O tak! Przy tobie tak się zaniedbałam. Niewolnicę ze mnie zrobiłeś, współczesną niewolnicę! To ja jestem tą Isaurą. Pracuję, gotuję, sprzątam, stoję w kolejkach, wychowuję dzieci... Za co ja tak cierpię? Ale nie bój się! Jeszcze niejednemu potrafię się podobać. Wczoraj w trolejbusie jakiś szczeniak proponował mi wspólną kolację. „Nie pozaluje pani...”, tak mówił. A ja głupia...

— Mamo, a ty nie masz kolacji w domu? Wczoraj były fajne klopsiki!

— W domu to w domu, a poza domem... Twój kochany tatuś lubi kolacyjkę poza domem! Potem mówi, że miał ważną konferencję, która się przeciągnęła. Do północy, prawda? A jak ta konferencja ma na imię? Basia, jak ta instruktorka. Znamy się na takich kawalkach.

— Słuchaj, nastaw wreszcie tę żupę, bo uszy puchną. Czy ty wiesz, że dzisiaj wszystko może się

zdecydować? Jeśli Motor zremisuje z Widzewem, to zostanie w pierwszej lidze, jeśli przegra, trzeba będzie czekać do niedzieli i wtedy wszystko się wyjaśni.

— Niech sobie przegrywa, niech sobie wygrywa, dla mnie obojętne. Ale nie jest obojętne, kiedy tyle forsy tracisz na totalizatora. Zebyś jeszcze coś wygrał!

Zapaliła gaz w kuchni. Słyszał dobiegające słowa:

— Przypomniałam sobie. Wężownica w piecyku znowu nawala i woda cieknie. Może byś się zakręcił? Na Szopena jest jakiś przywaciarz, wiesz, koło księgarni, który dobrze lata. No tak, ale u ciebie na wszystko jest czas, tylko nie na to, na co potrzeba!

— Mamusiu, wężownica to żona węża? Pokaż mi, pokaż! Ja chcę węża, niech go pogłaszczę!

— Pogłaszcz swego tatusia. On ma węża w kieszeni. Chciałam uroczyście oznajmić, że już nie mam nic na życie. Koniec. Jutro będziemy jedli suchy chleb.

— Jutro, to jutro. Na razie daj ten obiad. I zamknij się na moment, bo nie mogę przeczytać.

— Kultura, nie ma co! Inżynier podobno. Kto ci dał ten dyplom? A moją mamę mówiła, żebyś nie wychodziła za ciebie. I miała świętą rację. Przyjdzie do nas, to ja jej powiem, powiem jej, jaka byłam głupia. A mogłam wyjść za Jureczka. Popatrz, ile on pisze, jaki jest sławny. Już nawet w warszawskiej gazecie widziałam jego nazwisko.

— Trzeba było wyjść za tego gryziółka i dać mi święty spokój.

— Tato, a co to jest gryziółek?

— Taki pisarz, co pisze lewą ręką i ssie ołówek jak smoczek.

— Leon, nie zwracaj dziecku głowy! Rozległ się dzwonek.

— Cześć, mamo. Cześć tato!

— W samą porę przyszedłeś. Pokaż się ojcu, bo zapomni, jak wyglądasz.

— O, tata, daj „Kuriera”, zobaczę, co dalej z tą Isaurą!

— Zwariuję, zwariuję w tym domu kompletnie. Naprawdę nie masz co czytać? Kiedy ja miałem dziesięć lat, to mi Isaura nie była w głowie.

— A bo wtedy Isaura nie było. Tato, ty się lepiej pokręć i daj mi trochę makulatury. Pani kała przynieść.

— To weź sobie tę Isaurę!

— O nie! Isaurę ja wycinam i zbieram... — Iza wpadła do pokoju z nożyczkami. Równie dobrze mógłby to być nóż lub sztylet, bo oczy jej rzucały niespokojne błyski.

W tym momencie zadzwonił telefon. Nim Leon zdążył podnieść się z krzesła, ona już trzymała słuchawkę w ręku.

— Do ciebie — powiedziała uśmiechając się złośliwie. — Chyba znów jakaś konferencja...

(cdn.)

Archiwum mistrzów anegdoty

Pisarz niemiecki, G. Hauptmann, lubił w czasie spaceru tworzyć. Dlatego nie rozstawał się z grubym zeszytem, oprawionym w płótno. Pewnego razu, wróciwszy do domu, chciał poddyktować sekretarzowi to, co zanotował w zeszytach, ale okazało się, że go gdzieś zgubił.

— Wie pan — rzekł po namyśle pisarz — wcale mi nie zależy na tym, co w zeszytach napisałem, to mogę odtworzyć, ale było w nim około stu czystych kartek!

Milton, poeta angielski, kiedy został wdowcem niemal równocześnie utracił wzrok. Nie długo jednak ożenił się po raz drugi. Gdy jego przyjaciel wyraził zdziwienie, że Milton mimo ślepoty znalazł żonę, ten odparł: — O, bardzo łatwo! Gdyby mnie jeszcze

Bóg nawiedził głuchotą, byłbym najlepszą partią w Anglii.

Pascall powiedział o człowieku: „ni anioł, ni bydlę”. Zofia Kossak poddała rewizji ten sąd twierdząc: „Więcej niż anioł, gorzej niż bydlę — to jest człowiek”.

W czasie pisania dramatu „Diane de Lys” Aleksander Dumas kontaktował się często ze swoim przyjacielem, Henri Miraud. Wspólnie analizowali przebieg akcji oraz perypetie bohaterów. Najważniejszym był problem: czy zabić głównego bohatera, Paula Aubry, czy też znaleźć inne rozwiązanie? Kiedy Dumas ostatecznie ukończył sztukę, przybiegł do przyjaciela, ale nie zastał go w domu. Zwrócił się więc do służącej:

— Proszę powiedzieć panu Miraud, że zabiłem Paula Aubry.

Przerazona służąca powtórzyła tę wiadomość swemu panu. Zdziwienie jej nie miało granic, kiedy usłyszała.

— Zabił go? I dobrze zrobił!

Sekretarzem, a zarazem powiernikiem Goethego w ostatnim okresie jego życia był Johann Peter Eckermann, pisarz niemiecki, autor słynnych „Rozmów z Goethem w ostatnich latach jego życia”.

Pewnego dnia Goethe wybrał się z nim na spacer po ogrodzie. Był piękny poranek kwietniowy.

Naraz Goethe odezwał się: — Jeżeli idzie o własną, to muszę powiedzieć...

— Bardzo przepraszam — przerwał mu Eckermann — ale może innym razem pan dokończy, bo nie wziąłem ołówka.

Baltazar Avanzini, znany dziennikarz i wydawca czasopisma „Fanfulla” w Rzymie, pragnąc sprawić przyjemność jednemu ze swych przyjaciół, udał się na przedstawienie jego sztuki, wystawianej w małym teatryku, do którego nigdy dotąd nie zaglądał. Upewniwszy się w dyrekcji, gdzie jest krzesło recenzenta, udał się do teatru, ale okazało się, że miejsce już ktoś zajął.

— Wybacz pan — powiedział Avanzini — ale musiał się pan pomylić do do numeru fotela.

— Pomylił? To jest moje miejsce!

— A czy nie jest to miejsce zarezerwowane dla recenzenta z „Fanfulla”?

— Właśnie, ja jestem dyrektorem tegoż pisma — odparł sędzący.

— Czy w takim razie mógłby mi pan odpowiedzieć, kim ja jestem? — zapytał skromnie i z lekkim ukłonem Avanzini.

Wyszperał: Ryszard Dunin

Krzyżówka nr 14 - szyfrogram literacki

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie. Pierwsze litery początkowych wyrazów pomocniczych utworzą imię i nazwisko autora powieści, z której pochodzi cytowany tekst. Pojedyncze czarne kratki w diagramie oznaczają koniec słowa, a podwójne koniec zdania.

Wyrazy pomocnicze

1. brak współmierności stron — 144. 146. 171. 88. 120. 86. 14. 28. 71.
2. koromysło, nosidło — 121. 54. 4. 38. 53. 112. 148.
3. część ręki — 138. 91. 57. 142.
4. uchwyt, trzonek — 124. 95. 100. 15. 3. 10.
5. honor, wyróżnienie — 125. 2. 131. 117. 170. 108. 89. 152.
6. samolubstwo — 158. 127. 162. 101. 66. 60.
7. bywa u wagi — 115. 98. 76. 153. 119. 27. 47. 11.
8. jakby Chełm dla CSSR — 161. 83. 139. 20. 36. 76. 16.
9. koniec rzeki — 128. 106. 167. 19. 46. 50.
10. — to zdrowie — 163. 63. 79. 102. 30. 80.
11. polski herb, m.in. Raczyńskich — 58. 41. 34. 26. 143. 82.
12. rozpęd — 165. 78. 84. 105. 9.
13. padaczka — 149. 35. 49. 157. 114. 82. 107. 82. 24.
14. miesiąc — 129. 63. 18. 156. 96. 12. 7. 74.
15. subiektywne odczucie — 169. 32. 68. 110. 118. 39. 159. 87.
16. uporządkowany zbiór liczb — 164. 56. 21. 23.
17. gryzie — 172. 43. 48.
18. księżyc poety — 70. 87. 109. 45. 6. 160. 37.
19. otoczony wodą kawałek lądu — 51. 130. 17. 90. 87.
20. marny kawałek mięsa — 85. 132. 31. 104. 33. 147.
21. biblijny nieszczęśnik — 133. 113. 69. 154.
22. druga część — 8. 137. 134. 141. 99. 92.
23. miasto w Ukr. SRR, które dało nazwę tańcowi — 40. 173. 25. 151. 136. 59. 3. 77.
24. przesłaniają oczy — 103. 111. 44. 94. 126. 150. 145.
25. nadmorska dzielnica Gdyni — 64. 1. 140. 166. 22. 174.
26. dziury w drodze — 13. 52. 72. 55. 135.
27. przyjmowanie za prawdę bez dowodu — 93. 81. 123. 116. 29.
28. państwo arabskie w Afryce — 168. 81. 123. 155. 73.

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17
18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29	30	31	32		
33	34	35	36	37	38	39	40	41	42	43	44	45	46	47	48	
49	50	51	52	53	54	55	56	57	58	59	60	61	62	63	64	
65	66	67	68	69	70	71	72	73	74	75	76	77	78	79	80	
81	82	83	84	85	86	87	88	89	90	91	92	93	94	95	96	97
98	99	100	101	102	103	104	105	106	107	108	109	110	111	112	113	
114	115	116	117	118	119	120	121	122	123	124	125	126	127	128		
129	130	131	132	133	134	135	136	137	138	139	140	141	142	143	144	
145	146	147	148	149	150	151	152	153	154	155	156	157	158	159	160	
161	162	163	164	165	166	167	168	169	170	171	172	173	174			

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231, 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy boni książkowy wartości 500 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 12 SZYFROGRAMU LITERACKIEGO

Wtedy on klepie ją mocno po pośladku, aż mięsisty odgłos rozchodzi się po sady, i mówi: — Ta maszynka się liczy, ta maszynka teraz w modzie, gdy jest dobra, można nią zawojować świat...

Julian Kawalec
Oset

Nagrode wylosowała Zofia Szczepińska, ul. Bieruta 23 b m. 43, 20-124 Lublin.